Przedpłata wynosi w miejscu:
kwartalnie . . Koron 2·—
półrocznie . . „ 4·—
rocznie . . . „ 8·—
Na prowincji:
kwartalnie . . Koron 2·25
półrocznie . . „ 4·50
rocznie . . . „ 9·—
W Rzeszy niemieckiej:
rocznie 9 marek, półrocznie 4·50 mrk.
W innych krajach europejskich:
rocznie 12 franków, półrocznie 6 fr.

KŁOSY

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM NARODOWYM ✧ SPOŁECZNYM ✧ NAUKOWYM ✧ LITERACKIM ✧ I ARTYST:

WYCHODZI 1-GO I 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA
POD REDAKCJĄ **KAZIMIERZA BARTOSZEWICZA**

Przedpłata wynosi:
W Ameryce północnej:
rocznie 3 dolary, półrocznie 1·50 dol.
W Ameryce południowej:
rocznie 14 franków, półrocznie 7 fr.

Przedpłatę przyjmuje Administracja **KŁOSÓW** w Krakowie ul. Pijarska 2, agencje czasopism oraz księgarnie.

Adres Redakcji **Kłosów** w Krakowie, ulica Florjańska 41.

Treść nru I-go.

6 Zł. 12 Zł. ...wale handel i przemysł polski!

Pierwszy w G... katolicki i krajowy

Magazyn tani... gotowych ubrań

wyrabianych wyłą... krawców krakowskich,

ul. Floryańska l. 7, ... przy Rynku głównym

poleca swe wyroby co do materya... wykonania lepsze od zagranicznych.

Wybór wielki — Ceny na ...ym k...

Garnitury męskie po 7, 8, 10, 12 zł. i wyżej	Ulstry . . . . . . od 19 zł...
Zarzutki . . . . od 12 złr. i wyżej	Garnitury anglesowe . „ 24 „
Spodnie . . . . „ 2 „ „	Bundy nieprzemakalne „ 22 „
Haweloki . . . „ 9 „ „	Płaszcze studenckie . „ 10 „

Marynarki beszowe czarne i kolo...

Wielki skład materyałów surowych tak krajowych jak zagranicz...

Wszelkie rodzaje zamówień wykonuje się jak najdokładniej i punktualnie.

Dyrekcya Związku katol. krawców w Krakowie.

UWAGA: W niedziele i święta lokal zamknięty. Kierownik magazynu mieszka ul. Floryańska l. 16 obok hotelu pod Różą.

Największy Związk. Warsztat polskich krawców popier...

Kto popiera obcy prz... ...krajowemu!

Wobec przewagi obcych w solidarności siła i bogactwo narodu!

WŁ. TOMASZEWSKI

w Krakowie, Rynek l. 16

poleca w wielkim wyborze

Porcelanę
Szkło
Majolikę
Fajansy
Lampy stołowe i wiszące

Zamówienia z prowincyi uskuteczniam odwrotnie

A. Hawełka w Krakowie

włoskich, angielskich i amerykańskich.

Duży wybór smacznych

Win Węgierskich.

Cylindry ✿ Kapelusze ✿ Klaki

BIELIZNA MĘSKA — KRAWATY — RĘKAWICZKI — KALOSZE ROSYJSKIE

POLECA **ZDZISŁAW ZDANOWICZ**

Kraków, ulica ... l. 8.

vis-a-vis ...go

18 Zł.

Przedpłata wynosi w miejscu:
kwartalnie . . Koron 2·—
półrocznie . . „ 4·—
rocznie . . . „ 8·—
Na prowincji:
kwartalnie . . Koron 2·25
półrocznie . . „ 4·50
rocznie . . . „ 9·—
W Rzeszy niemieckiej:
rocznie 9 marek, półrocznie 4·50 mrk.
W innych krajach europejskich:
rocznie 12 franków, półrocznie 6 fr.

KŁOSY

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM NARODOWYM ✧ SPOŁECZNYM ✧ NAUKOWYM ✧ LITERACKIM ✧ I ARTYST:

WYCHODZI 1-GO I 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA
POD REDAKCJĄ **KAZIMIERZA BARTOSZEWICZA**

Przedpłata wynosi:
W Ameryce północnej:
rocznie 3 dolary, półrocznie 1·50 dol.
W Ameryce południowej:
rocznie 14 franków, półrocznie 7 fr.

Przedpłatę przyjmuje Administracja **KŁOSÓW** w Krakowie ul. Pijarska 2, agencje czasopism oraz księgarnie.

Adres Redakcji **Kłosów** w Krakowie, ulica Florjańska 41.

NR: 1 KRAKÓW 1 KWIETNIA 1901 1901

Z „PIEŚNI WIECZORNEJ“

JANA KASPROWICZA.

Bo gdzież jest większy pan i król i władzca?
Gdzież moc ci równa i równa potęga?
Sam z Siebie-ś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebie-ś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie-ś swoje zamknął w prochu ziemi
i wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem:
Wszystko jest z ciebie i Ty jesteś Wszystkiem!
I przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry twej dosięga?
Gromem przemawiasz z łyskającej tuczy,
Głos Twój morzami i wulkanem huczy
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże;
bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i prostej!

On był i myśmy byli przed początkiem, —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

(Chimera).

SIELANKI GALICYJSKIE.

I.

GŁODNA WIOSNA.

Nadeszła nareszcie prawdziwa wiosna!

Niesporo jej było wyjść na ten Boży świat. Musiała przedtem odbyć parę nieudałych prób. Ledwie trochę mróz zelżał, słonko się pokazało i ociepliło się nieco, zaraz myślano, że to już koniec zimy — a tu tymczasem ostrzejszy wiatr zawiał, ziemia się skurczyła, ludzie się pochowali do ciepłych mieszkań i marzli po dawnemu, bo ustępująca zima ma, jak każda kobieta, swoje chimery i kaprysy, swoją niestałość i zmienność.

Dopiero gdzieś koło połowy kwietnia zaczęła się na dobre wiosna na same święta i jak gospodarna niewiasta zabrała się do robienia porządków: poskładała zimowe, zabrudzone kożuchy śniegowe, wymiotła z błota ziemię, jak podłogę, zaczęła ciepłem chuchać na podrastające oziminy, kiełkujące trawki, rozwijające się kwiaty a zaczęła od wierzb i wikliny, żeby je przygotować dla ludzi na palmową niedzielę i od skromnych fiołków, pachnących koło płotów dla zakochanych.

Z każdym dniem robiło się zieleniej na polach i przybywało coraz więcej pączków białych i różowych na owocowych drzewach, aż koło końca maja, kiedy cały świat się już umaił, stanęły w pełnej krasie kwiatów wszystkie sady owocowe, naśladując białością przepadłe już śniegi, napełniając świat cały wonią przecudną, począwszy od silnego zapachu demokratycznego bzu, którym wszystkie kucharki i służące stroiły sobie włosy, obrazy świętych, wazony, a skończywszy na arystokratycznych narcyzach, jaśminach, różach i leśnych konwaliach. Cały świat kadził niebu i ludziom najrozmaitszemi zapachami i wabił do siebie barwnością wszelakich kolorów motyle i różne inne latające owady.

Tylko głodnych ani zapach ani kolor nie nakarmi — i ludziska po wsiach wśród tych odurzających zapachów i kolorów więdli i marnieli od głodu, bo przednowek był ciężki a zarobku mało. Co zdrowi i silniejsi, to wszystko popochodziło w dalsze strony za robotą to do kolei, to do sypania szańców lub do miasta, ale kobiety i dzieci padali od głodu, jak muchy. Dzieci dopominały się coraz natarczywiej o chleb, którego im dostarczyć w potrzebnej ilości nie można było.

Biedne matki brały się na różne sposoby, żeby oszukać wygłodzone żołądki swoje i dzieci. To wybierały z glinianych dołów resztki przegniłych ziemniaków, to zbierały po okopach szczawiowe liście i inne ziela, krążyły je na kapustę i tą strawą żywiły siebie i dzieci. Młode żołądki trawiły wszystko, co w nie pakowano; ale słabsze nie mogły się tem zadowolnić i wydęte brzuszyny maleństwa wyładowane niezdrowem zielskiem i wszelkiemi chwastami nie odżywiały chudych ciał; dziecię jedno po drugiem zapadało po wsiach i dymnych chatach to na krwawą biegunkę, to na inne choróbska i marło z tego bez pomocy lekarzy, tyle tylko, że się trupa okadziło jałowcem i ksiądz pokropił święconą wodą drewnianą trumienkę. Ale i na taki pogrzeb lichy trzeba było trochę krajcarów, których w domu nie było. A tu wypadało koniecznie każde dziecko opłakać, w karczmie choćby jaką taką stypą oblać, choćby kilkoma półkwaterkami śmierdziuchy u żyda, któremu trzeba było przynieść z chałupy zastaw jaki przed nowemi zbiorami. I księdzu zapłacić za pokropienie i kościelnego uraczyć esencyą punczową z arakiem, bo od wódki przysięgał.

Więc bieda była okrutna we wsi i lamentu niemało między kobietami.

Do tego jeszcze od czasu do czasu zjawiał się we wsi taki pan ze starostwa w mundurze woźnego, z żółtemi świecącemi guzikami, z orzełkiem na urzędowej czapce, z papierami pod pachą i szedł prosto do wójta rozpytywać się to o Jędrka Tajdusia, to o Macieja Karpiela, to o innych ludzi, gdzie kto mieszka, pod jakim numerem i przyszedł nakaz płatniczy za zaległe podatki, albo palet egzekucyjny, za który trzeba było płacić karę, a jak nieznalazł pieniędzy to zabierał bez ceremonii to cielę z obory, to ostatnią ćwiartkę zboża, to przyodziewę ze skrzyni na pokrycie zaległości, bo befehl ist halt befehl — i musi być wszystko zapłacone co do grosza, co się c. k. urzędowi należy. Punctum!

Więc pomimo, że jeszcze słonko świeci na niebie, że po sadach pachną kwitnące drzewa i na polach uśmiecha się zieloność, we wsiach więcej płaczu jak uciechy, i fujarki, kręcone z wierzbiny, wygrywają żałośnie, jakby się skarżyły Panu Bogu na niebie.

II.

ŚWIĘTY JAN CHRZCI WODY.

„Suchy marzec — mokry maj będzie żytko, kieby gaj“ powiadają ludzie.

Ale w tym roku za dużo było onego błogosławieństwa Bożego i deszczyk jak się puścił z pochmurnego nieba, tak lał i lał bezustannie.

Z początku po długiej poświątecznej spiekocie, od której ziemia pękała i rozsypywała się na miałki proch, błogo było ludziom oddychać ochłodzonem powietrzem, zanurzyć się w zimnej wodzie i wysuszone trawy, powiędłe liście z radością wysuwały spragnione języczki i piły tę rosę niebieską, ten deszcz kroplisty, co leciał z nieba. Młyny turkotały z uciechy wielkiej, że się im woda leje tak obficie na koła. Walenty rybak wziął się do naprawiania sieci i szedł na zielony brzeg, zarosły młodą wikliną, ciesząc się nadzieją dużego połowu ryb w mętnej wodzie.

Ale przez ten czas kiedy on tak zajęty był połowem, górskie wody przyszły nagle po kilku dniach deszczu, wypełniły po brzegi koryta rzek. Małe strumyki wezbrały w wielkie rzeki, upatrzyły sobie wyrwy w gliniastych brzegach, potargały naturalne tamy; wtargnęły w niziny, gdzie za plecami Walentego, zajętego ciągle połowem, zmawiały się tajną naradą na chudobę ludzką, na to zielone „żytko, co wyrosło, niby gaj“ jakby je zatopić i zalać — i z urodzajnych pól, na które się ludziska tak cieszyli, zrobić szeroko rozlane jezioro i ani się spostrzegł Walenty, jak mętna woda przecięła mu odwrót do domu, że nieborak ze strachu wydrapał się przed nią na wierzbę i nieludzkim głosem zaczął wołać o pomoc.

Wołał daremno, bo nikt jego krzyku nie słyszał, bo woda bałwaniła się i szumiała, bo ludziska zajęci byli także sami ratowaniem dobytku i dzieci z kołyskami, które woda gwałtownie zalewała coraz wyżej, wyprowadzaniem krów z obory na pagórki i wszystkiego co się dało. Na szczęście Walentowa, zaniepokojona, że mąż do północka nie wraca, wyszła na pole i czujnem uchem żony nasłuchiwała, czy wśród szumu wody, lamentu ludzi, nie usłyszy głosu męża. I dosłyszała zachrypnięty głos jego i uprosiła sąsiada, przewoźnika, że na czółnie dostał się do niego i sprowadził go z wierzby, skostniałego z zimna i strachu i przywiózł żonie uratowanego.

A woda wezbrana szła coraz wyżej i wyżej, goniła wystraszonych i przelękłych ludzi i bydło na coraz wyższe pagórki, a święty Medard lał i lał bez ustanku, zapowiadając czterdzieści takich deszczów jeszcze.

I cała okolica wyglądała po takich deszczach jak jedno ogromne zatopione jezioro, z którego sterczały słomiane, zczerniałe dachy, pełne bladych twarzy ludzi wołających o ratunek, wyciągających z dymników ręce po chleb i pomoc. — A wierzchołki drzew, zamulonych do połowy, pływały w wodzie i kręciły się z biegiem bałwaniących się fal i wirów mętnej to-

pieli, przesuwały się, jak w ponurej panoramie, to szczątki sprzętów chłopskich, to garście zgniłego siana, to belki rozbitej chałupy, lub psie budy, z wyjącym na daszku psem na łańcuchu, to puste kołyski, to rozrzucone sągi drzew nałupanych w lesie i różne inne przedmioty.

Nareszcie, po paru tygodniach takiej powodzi, ulitowało się niebo; strumienie deszczu przerzedziły się, chmury popękły, jak kry lodowe i przez ich szczeliny wychylił się na granatowem niebie księżyc blady i przyglądał się z góry temu spustoszeniu, temu bezbrzeżnemu jeziorowi, z którego po kilku dniach wyłoniła się ziemia sponiewierana, zmęczona, jak po ciężkiej chorobie.

Ludziska powyłazili z przymusowych więzień, jak z arki Noego, wychudzeni, zbiedniali, zabłoceni i smutnemi oczami rozglądają się po stratach, jakie im ta powódź wyrządziła, po zamulonych oziminach, które kamienie i szuter w nieużyteczną zmieniły pustkę, na której tylko chwasty i kolczasty oset róść będzie. Klęska była tak wielka, że nawet urzęda podatkowe oniemiały i wstydziły się upomnieć głośno o swoje należytości. Nie znaczyło to, żeby je miały darować, — uchowaj Boże, bo podatek to rzecz święta, nietykalna, z której żaden krajcar nie może być przeliczony ani zapomniany, jeno odłożono go na czas późniejszy, kiedy łyka będą miały więcej miazgi i łatwiej drzeć się dadzą, — a kandydaci na posłów do Rady Państwa będą mieli jeden punkt więcej upominania się o krzywdy wyrządzane Galicyi przez zaniedbywaną i z roku na rok odkładaną regulacyją rzek.

III

WYDARTUCHY.

Była to osada na pagórku nieduża, i coś kilka chałup zaledwie, otoczonych świerkowym lasem i krzakami tarnin, ożyn i malin do około — w kotlinie zasłonięta od wiatrów, istny raj dla pszczelnych ulów, których kilka stało wśród sadów śliwkowych i niskich jabłoni.

Dlaczego osada nazywała się „Wydartuchy" niewiadomo. Widocznie ktoś komuś ją wydzierał i spory były o ten kawałek ziemi. Powiadali ludzie, że ją pan jakiś, zapewne dziedzic wioski, stary kawaler, podarował z budynkami i parą krów swojej gospodyni, że po jego śmierci rodzina prawowała się i chciała wydrzeć ów kawałek gruntu dla siebie, ale mądra baba nie dała się wygnać, wzięła mądrego adwokata do pomocy, wygrała proces i utrzymała się na gruncie.

Wnet znaleźli się krewniacy, jakiś ujek, jakieś swaki, jacyś bracia, pobudowali się wokoło i stanowili jedną rodzinę i podzielili się po śmierci właścicielki jej ziemią między siebie. ale że ich było sporo, więc jak się zaczęli dzielić, tak na każdą głowę ledwie po parę zagonów przypadło. Mimo to trzymali się razem i żywili jak mogli. Ten obrobił kilka zagonów ziemniaków, tamta posiała len i rozścielała potem płótna do bielenia na szmaragdowej trawie koło potoka, inny krewniak trzymał się pasieki i chodził umiejętnie koło pszczelnych rojów, rozsadzając je na wiosnę, żywiąc w lecie kwiatami, których sporo było w tym zakątku; kobiety krzątały się koło domowego gospodarstwa, nosiły jeść w pole w dwojakach, prały chusty na niedzielę i święta, grabiły siano po łąkach i chodziły po jarmarkach na zakupno sprzętów i tego, co było do domu potrzeba.

Choć się to wszystko krzątało, niby mrówki pracowite, nie było bez tego, żeby jednemu i drugiemu niebrakło to na kupienie grudki soli, to na zapłacenie podatków, to na proces w sądzie. Ale był od tego we wsi taki Icek karczmarz, który pożyczał na wszystko, co brakło, albo skredytował do nowych zbiorów.

Wtedy on, albo najstarszy syn jego, już także ożeniony, albo żona Ruchla zjawiali się na Wydartuchach, niby jaskółki na wiosnę, zaglądali to do jednej chaty, to do drugiej i wywozili stamtąd w procencie lub na spłatę długu to sztukę płótna, to paromiesięczne cielę, to skórki zajęcze, to grzybów suszonych wianuszek.

I tak pchało się to życie z dnia na dzień zgodnie, bo Icek był uczciwy żyd, dłużnika nie naciskał gwałtownie, jeszcze wódki zborgował czy na chrzciny, czy na wesele, czy na inną jaką uroczystość i listy pisał całej rodzinie do Ameryki, gdzie mieli także swoich krewniaków, a gdy przyszło czasem jakie pismo ze sądu, to je lekceważył i uspokajał ludzi, że to nie pilne, że z tem można poczekać jeszcze.

I tak długi rosły coraz więcej. Za procent brała rodzina Icka wszystko co się dało z chałup, a dług zostawał długiem i rósł jeszcze nowemi pożyczkami, aż doszło do tego, że całe Wydartuchy były właściwie własnością Icka i poczciwe żydzisko, mimo całej życzliwości dlą rodziny, mieszkającej na Wydartuchach, zmuszony był jednego razu tę wesoła osadę wystawić na licytację.

Nie kupił jej sam, bo, jak mówił, nie stać go na to było i zresztą poco on miał narażać się dobrym ludziom? Kupił jakiś, w drugiem pokoleniu już wychrzczony żyd, podobno nawet daleki krewny Icka, tylko tyle, że katolik i ten na rok jeszcze zostawił Wydartuchy dawnym właścicielom w dzierżawie, a Icek z dobrego serca faktorował w tej całej sprawie i radził nawet, którego adwokata wziąć w mieście do spisania kontraktu.

Dopiero kiedy dłużnicy zaczęli zalegać z ratami, musiał nowy właściciel upomnieć się o swoje, skarżyć ich do sądu, a w końcu wywłaszczyć z posiadania.

Biednym ludziom nie mogło się to pomieścić w głowie, żeby Wydartuchy, które przez tyle lat mieli w posiadaniu, w których porodziły się ich dzieci, wnuki, miały przejść w inne ręce, żeby mieli stamtąd wynieść się na piękne.

To też kiedy zjawił się pan komisarz ze starostwa i chciał odbierać im to, co dotąd uważali za swoją własność, kobiety i dzieci podniosły taki krzyk i lament, jakby je ze skóry zdzierali, a chłopi wyszli z kijami i cepami naprzeciw panu komisarzowi i postawili się hardo, że nie ustąpią i orać na swojej ziemi nikomu nie pozwolą. Pan komisarz przed brutalną siłą musiał nareszcie ustąpić. Naznaczono więc nowy termin eksmisyi i wezwano dwóch żandarmów do asystowania temu aktowi i użycia w razie sporu siły zbrojnej.

I zjechali na nowy termin i sąd z pachołkami i dwóch żandarmów, którzy wśród ogólnej ciszy nabijali ostentacyjnie karabinki w obliczu wszystkich, i przyszła para wołów z błyszczącemi pługami i nowy właściciel blady, trzęsący się, jak mówił ze wzruszenia, bo miał miękkie serce i na łzy ludzkie patrzeć nie mógł.

Całe to zebranie było podobne do przygotowującej się egzekucyi skazanego na śmierć.

Tylko samego skazanego widać nie było. Ci, których miano wyrzucać z siedziby, gdzieś się pochowali i chłopy i baby i dzieci, — a chałupy pozamykali i pozapierali kołkami. Napróżno ich szukano po lesie i okolicy, przysłano wójta po nich, nie było ich nigdzie. Wtedy sąd odczytał głośno wyrok i kazał tym, co z pługami stali, orać ugor zarosły chwastami i rozwalić drzwi pierwszej chaty.

Ale w chwili, kiedy rozległo się głuche uderzenie siekiery, wnet hałaśliwy tłum, jak z pod ziemi wyrósł i stanął w niemej obronie swojego mienia. Małe dzieciaki cienkimi głosami rozrywały powietrze, baby z jękiem rzucały się pod orzące pługi, klnąc najstraszniejszemi przekleństwami napastników aż do siódmego pokolenia, rozrywały koszule na spalonych piersiach, wiszące jak brudne, puste worki, groziły pięściami, a gdy jednę taką starą babę sędzia kazał przemocą oderwać od pługa, żeby nie tamowała biegu sprawiedliwości, chłop, prawdopodobnie mąż, stając w jej obronie, porwał siekierę porzuconą przed chatą i ciął nią z taką siłą sędziego w rękę, że się odrazu krwią oblała.

Żandarmi chcieli go odrazu pochwycić, skuć i aresztować, ale się tak mocował z nimi, tak się bronił rozpaczliwie, że pół godziny blizko trwało, zanim go ubezwładnili, związali i wrzucili na wóz, jak wiecheć słomy.

Ludzie, którzy zbiegli się z różnych stron, w ponurem milczeniu przypatrywali się temu zdaleka z za węgłów domów, z za drzew, żeby nie potrzebowali potem świadczyć w sądzie, — a inni pouciekali chroniąc się przed aresztowaniem do lasu.

W taki sposób pod ochroną bagnetów służba dokonała czynności i objęła Wydartuchy w posiadanie na rzecz nowego właściciela. Komisarzowi żyd, felczer z miasteczka, zaopatrzył na razie skaleczoną rękę, a chłopa, co śmiał stawić opór władzy, powieziono związanego, skutego do kryminału, dokąd odprowadził go płaczliwy krzyk małych dzieci i lament kobiet.

Po odsiedzeniu kary za ten czyn zbrodniczy, cała rodzina z Wydartuchów przeniosła się potem do Ameryki z pomocą swego krewniaka, który im przysłał „Schifkarty“ i pieniądze na drogę.

M. Bałucki.

„WESELE“ WYSPIAŃSKIEGO.

Dramat Wyspiańskiego „Wesele“ poruszył cały Kraków inteligentny. Od tygodnia o nim się tylko mówi, o niego się tylko sprzecza. Nigdy może nie słyszało się zdań skrajniejszych — jedni ten utwór nazywają dziwactwem, rzeczą bez wartości, drudzy mienią go największem arcydziełem, jakie ukazało się od czasu, kiedy zamilkła wielka trójca poetów naszych. Na innem miejscu opisujemy swoje wrażenia i wypowiadamy swoje zdanie. Tutaj chcemy dać o ile możności obszerne streszczenie tego utworu, przytaczając z niego ustępy wybitniejsze. Dla tych, co nie mogli go widzieć na scenie, będzie to z naszej strony przysługa, — a i ci, co „Wesele“ widzieli, łatwiej przez to streszczenie uzupełnią sobie pogląd na ten utwór, w teatrze bowiem ginie dla słuchacza wiele myśli i wiele też miejsc pozostaje niezrozumiałych.

Rzecz się dzieje na wsi, w półdworku, w półchacie. Jest to mieszkanie artysty, który się ożenił z córą wieśniaczą i osiadł między ludem. Obecnie siostra jego żony wychodzi za mąż za poetę. Wesele jest huczne — przez wszystkie trzy akty słychać za sceną muzykę. Po scenie przesuwają się w I. akcie tylko różne pary, słychać same dyalogi. Jest zakochany pan młody, jest panna młoda Jaga „urodziwa, jak jaśminy, jak jagoda“; panu młodemu do dziewczyny żony „serce wali młotem, bo mu w głowie huczy, szumi“, panna młoda też wesoła, ale mniej nastrojona — rada mu z duszy — ale myśli i o trzewikach, które są „troche ciasne“. Jest gospodarz-artysta, który z ludem sąsiaduje o miedzę i ma dla niego ogromne uznanie.

Kiedy sieje, orze, miele,
Taka godność, takie wzięcie
Co czyni, to czyni święcie...
Godność, rozwaga, pojęcie;
A jak modli się w kościele
Taka godność, to przejęcie, —
Bardzo wiele, wiele z Piasta...
Chłop potęgą jest i basta!

Oprócz żony gospodarza, cichej, gospodarnej i rozumnej Hanny, jest jeszcze siostra jej i panny młodej Marysia, która także niegdyś miała wyjść za „pana z miasta“, ale kiedy ten umarł, oddała swą rękę Wojtkowi. Z pomiędzy jeszcze kilku innych postaci ludowych, na pierwszy plan wybija się wójt Czepiec.

Miasto przedstawiają: poeta, dziennikarz znudzony polityką, radczyni, zwykła sobie „pani z miasta“, żartująca z pana młodego i kilka panien dowcipkujących,

kochliwych i roztańcowanych. Przesuwają się wreszcie przez scenę; ksiądz, żyd arendarz, jego córka Rachela i t. d.

Każda z tych postaci przedstawia osobny typ lub charakter — każda prawie ma coś do powiedzenia. Weźmiemy tylko kilka głównych — niech same mówią o sobie.

Poeta flirtuje i ironizuje. W kraju czuje się gościem „jak żórawiec, ptak przelotny". W głowie mu się rodzą nowe pomysły.

Taki mi się snuje dramat
groźny, szumny, posuwisty,
jak polonez, gdzieś z kazamat
jęk i zgrzyt i wichrów świsty;
może przy tem wichrów graniu,
o jakiemś wielkiem kochaniu,
bohater w zbrojej skalisty,
ktoś jakoby złom granitu,
rycerz z czoła, ktoś ze szczytu,
w grze uczucia chłop „qui amat"...
Przytem historya wesoła,
a ogromnie przez to smutna.

Poeta znajduje się w ciągłej rozterce — chce się wydrzeć na wyżyny, a pospolitość ciągnie go ku ziemi.

Duch się w każdym poniewiera,
że czasami dech zapiera,
takby het gdzieś, gnało, gnało,
takby się nam serce śmiało,
do ogromnych, wielkich rzeczy;
a tu pospolitość skrzeczy,
a tu pospolitość tłoczy,
włazi w usta, w uszy, w oczy;
duch się w każdym poniewiera
i chciałby się wydrzeć, skoczyć,
ręce po pas w krwi ubroczyć,
ramię rozpostrzeć szeroko,
wielkie skrzydła porozwijać,
lecieć, a nie dać się mijać;
a tu pospolitość niska
włazi w usta, ucho, oko,
daleko, co było zbliska,
serce zaryte głęboko
gdzieś pod czwartą głębną skibą
że swego serca nie dostać...

W rozmowie pana młodego z gospodarzem (artystą) wstaje ponure widmo przeszłości: rok 1846. Dziadka pana młodego „piłą rżnęli", ojca gospodarza „zatłukli, krwawiącego przez lód gnali". Ale „ludzie się zmieniają" — „myśmy wszystko zapomnieli, stroimy się w pawie pióra". Dlaczego ? tak tłomaczy gospodarz:

At! odmienia nas natura,
wiara, co jest jeszcze w ludzie,
że coś z tego przecie będzie...
Rok w rok idziem po kolędzie
i szukamy i patrzymy,
czy co kiedy z tego będzie;
At! odmienia nas natura:
wicher, co nad łanem wionie,
drżenie, gdzieś aż w ziemi łonie,
par, który się wsiąka, wdycha,
że się tak w tych zbożach tonie...
Chociaż gleba, może licha
nie trza ustępować z drogi:
były bogi, będą bogi;
wiara jeszcze jakaś w ludzie.

Że „coś przecież z tego będzie", dowodzi przedewszystkiem Czepiec, chłop wysoki, barczysty. Jest to jedyna może postać, która rwie się do czynu i czyn zapowiada. Obchodzi go „czy Chińczyki trzymają się mocno", bo „my tu cytomy gazety i sami się do świata garniemy". Na uwagę dziennikarza:

Ale tu jest wieś spokojna?
niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś zaciszna,
byle polska wieś spokojna...

odpowiada Czepiec rezolutnie:

Pon się boją we wsi ruchu?
pon nos obśmiwajom w duchu —
. . . .
Z takich, jak my, był Głowacki...
A jak myślę, że panowie
duza by już mogli mieć,
ino oni nie chcom chcieć...

Ale z miastowymi „krucho", bo „ino na wsi jesce dusa, co się z fantazyją rusa".

Jakby kiedy co do czego
Myśmy, wi się, nie od tego,
ino ktoby nos chcioł uzyć —
kosy wisą nad boiskiem
. . . .
Jakby przyszło co do cego,
wisz pon, to my tu gotowi...
My są swoi, my są zdrowi —
pon mi razy dwa nie powi

Czepiec też radzi poecie:

Weź pan sobie żonę z prosta
duzo szczęścia, małe kosta
. . . .
Jo chcę, by sie ludzie brali,
zeby sie jako garneli;
zeby sie tak w kupe wzieli
toby sie przecie nie dali!

Pan młody jest trochę niewyraźny. Myśli o swojem szczęściu, lecz odzywa się w nim i żyłka poetyczna — on to szczęście opisze.

Tak to czuję, tak to słyszę,
i ten spokój i tę ciszę,
sady, strzechy, łąki, gaje,
orki, żniwa, słoty, maje...
Żyłem dotąd w takiej cieśni,
pośród murów szarej pleśni,
wszystko było szare, stare,
a tu naraz wszystko młode...
Znalazłem żywą urodę,
więc wdecham to życie młode.
Teraz patrzę się i patrzę
w ten lud krasy, kolorowy,
taki rzeźki, taki zdrowy —
choćby szorstki, choć surowy —
wszystko dawne coraz bladsze...
Ja to czuję, ja to słyszę —
kiedyś wszystko to napiszę,
teraz tak w powietrzu wiszę...

Ciekawą i oryginalną jest Rachela — córka karczmarza, kształciła się w mieście. Sama sobie w domu pierze „a i ciasto wałkiem gniecie", ale muzyka ją „bierze", „zna cały Przybyszewski" a nawet „tak chłopy lubi", że im „na kredyt daje". Więc też na wesele zwiodła ją „chmurka" i „chałupa rozświecona, grająca muzykę w noc ciemną". Pisać nie pisze, ale kędy spojrzy, to „widzi poezyę żywą, zaklętą" i tem jest

„szczęśliwa“. Ta poetyczność Racheli rzuca jej pomysł, który jest zawiązkiem całego dramatu i treścią dwóch aktów następnych. W rozmowie z poetą wskazuje mu różę na ogrodzie, owitą w chochoł ze słomy:

Przed tą pałubą słomianą
poskarżę się mej poezji;
chcę poetyczności
dla was i chcę ją rozdmuchać.
Zaproście tu na wesele
wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy,
pioruny, brzęczenia, śpiewy

Poeta: i chochoła

Rachela: Już pan wierzy,
już to pana zajęło:
słoma zwiędła, róża, noc,
ta nadprzyrodzona moc.

Poeta: Może być weselna feta
na wielką skalę!

Rachela: A, teraz pana pochwalę.
Adieu — Tę jedyną chwilkę
pan mnie zajął, — pan teraz poeta.

To też kiedy po chwili wpada na scenę para młoda, poeta udziela jej pomysłu Racheli:

Ty dzisiaj jesteś szczęśliwa
panno młoda, zaproś gości:
których bieda, piekło dręczy,
których duch się strachem męczy,
a do wyzwoleństwa rwie się;
niechaj przyjdą na podsłuchy
na wesele, gdzie muzyka;
muzyka ich chwilę popieści
duch taki chwilę przystanie,
a potem, jako dym znika
. . . .
Ach, pan młody, ty pan młody,
słuchaj, przecie ty poeta
i ty dzisiaj sprawiasz gody.

Pan młody: Ja szczęśliwy, do gospody
sprosiłbym dziś cały świat,
takim rad, takim rad.

Poeta: Zaprośże tego chochoła;
Tam za oknem, skrył się w sad.

Pan młody: Cha, cha, cha, cha, cha, cha
Przyjdź chochole
Na wesele
Zapraszam cię, ja pan młody
wraz na gody do gospody.

Jaga: Przyjdź-że, przyjdź-że, jak mas wole.

Poeta: Cha, cha, cha.

Jaga: Cha, cha, cha.
Skoro północ zacznie bić
do nas tu na izbę przydź.

Pan młody: Sprowadź jeszcze kogo chcesz
ciesz się z nami, ciesz godami.

Jaga: Ciesz się, ciesz.

Pan młody: Cha, cha, cha.
czy on też nas posłucha?

Na tem kończy się akt pierwszy. Chochoł posłuchał wezwania, przychodzi sam i wprowadza różnych dziwnych gości na wesele. Wyspiański wnika w myśli godowników — każdy z nich upojony weselem, chatą rozśpiewaną, tem rzadkiem połączeniem się warstw, żyjących zwykle zdala od siebie, podniecony wreszcie tańcem, muzyką i napojem, musi czuć i marzyć żywiej. Każdy zapewne słyszy jakieś echa z przeszłości, odrywa się od chwili obecnej, błądzi myślą po kurhanach, lub zatapia się wzrokiem w dal przyszłości! Tym myślom, zadumom, porywom, przeczuciom, wierzeniom, żalom i nadziejom, daje Wyspiański plastyczny wyraz.

Więc wchodzi naprzód słomiany chochoł z ogrodu, pyta się „kto go wołał, czego chciał“ i zapowiada, że przyjdzie tu gości wiele, przyjdzie w tan wszystko, „co się komu w duszy gra, co kto widzi w swoich snach“.

Pierwszy przychodzi do Marysi jej zmarły narzeczony. Przypomina jej, „jak nas gruszy cienił cień, tu w tym sadzie na zieleni, śród połednia, śród promieni“. Dziś on „gdzieś w ziemię wpadł“ jest trupem, ale „zwabiły go głosy z chat, zwabiło go echo z Tatr“, Marysia skłania głowę ku widmu, ale czuje, że mu „zimno wieje z ust“, więc ze strachem wyrywa mu się z objęć i przerażona tuli się na piersiach męża.

Po chwili ukazuje się Stańczyk a za nim dziennikarz. Stańczyk w szacie błazeńskiej siada na krześle poważny i smutny. Kto ty jesteś pyta dziennikarz i poznaje „wielkiego męża“.

Stańczyk: Wielki, bo w błazeńskiej szacie
wielki, bo wam z oczu zszedł...
Błaznów coraz więcej macie,
nieomal błazeńskie wiece.

Dziennikarz skarży się, że „okropne rzeczy się dzieją“. Wszystko, co było wielkie w kraju, to „przepadło“ —

To bajki o Trzecim maju!
Matkę do trumny się kładło,
siostry i rodzinę całą
ksiądz pokropił i poświęcił,
grabarze gruzł przywalili,
epigonów, co zostało,
na stypie się weselili
wesołością co przeklina
. . . .

Stańczyk: Asan jako spowiedź czyni,
spowiedź widzę cudzych grzechów...
Asan się zalewa łzami
duszę krwawi, duszę krwawi,
ale znać z Asana mowy
że jest — tak — przeciętnie zdrowy;
jutro humor się naprawi. —
Gotów mi płakać najrzewniej,
rozczulać się cudzych grzechów,
u bliskiego widzieć tramy,
zbrodnie, brudy, grzechy, plamy
i za swojego bliskiego
uczynić publiczną spowiedź. —
A! doprawdy! warte śmiechów, —
może jeszcze rozgrzeszenie
wziąć kapłańskie z cudzych zbrodni?

Rozpoczyna się długa rozmowa, pełna goryczy. Dziennikarz czuje, że stoi nad przepaścią, że „w wielkim zamęcie rozumów“ nie wie, gdzie są jego drogi. Słyszy przekleństwa na tych, co „pozakładali pęta“ —

widzi, że jest słaby, że zabrakło woli, że „jedyną ulgą jest zgon“.

Stańczyk: Zaśpiewałeś kruczy ton.
Tobież tylko dzwoni w głuszy
pogrzebowych jęków dzwon?...
A słyszałżeś kiedy z wieży
jak dźwięczy i śpiewa On?

Dziennikarz: Zygmunt, Zygmunt?

Stańczyk: — Dzwon królewski!
Siedziałem u królewskich stóp,
królewski za mną dwór,
synaczek i kilka cór,
Włoszka, — a wielki chór
kleru, zawodził hymny; —
a dzwon wschodził.
Patrzali wszyscy w górę
a dzwon wschodził, —
zawisnął u szczytów
i z wyżyn się rozdzwonił.
Głos leciał, polatał,
kołysał się górnie
wysoko, podchmurnie, —
a tłum się wielki pokłonił;
Pojrzałem na króla,
a król się zapłonił...
Dzwon dzwonił...

Dziennikarzowi „mrze na ustach modlitwa“, chciałby, aby wszystko w proch się rozsypało. W rozpaczy bluźni i woła nieszczęścia, bo możeby ono dobyło z piersi krzyku, sumienia. Stańczyk chłoszcze go ironią: — musiałeś się zgrać przy zielonym stoliku, lub z kobietami w gorączce opętałeś duszę i „ślepo gnasz we własne próchno“. Nie wolno szargać świętości!

Dziennikarz: Ty mój duch zły — demon, szatan,
błazeństwem ja z tobą zbratan,
byłem ci duszą poswatan,
nim dusza stała się trup; —
a teraz mi pachnie grób.

Stańczyk: Naści, rządź!
Masz tu kaduceus polski:
mąć nim wodę, mąć.

Dziennikarz: Serce miałem kiedyś młode
porwałeś mi serce młode,
wlałeś jad goryczny w krew, —
nie widzę, nie widzę dróg,
zaćmił mi się Bóg.

Stańczyk: Wielkość, — nicość — pusty dzwon,
serce strute, — —
uderzyłeś błazna ton,
moją nutę...
Kłam sercu, nikt nie rozumie,
hasaj w tłumie;
masz tu kaduceus, chwyć!
Rządź!
Mąć nim wodę, mąć:
Na wesele! Na wesele!
Idź!
Mąć tę narodową kadź,
serce truj, głowę trać!
Masz tu kaduceus, chwyć! (*rzuca mu godło pod nogi*).
Na Wesele, na Wesele!
Staj na czele!!!

Jeszcze po odejściu Stańczyka dziennikarz skarży się przed poetą na „głód i palączkę“. Jest w okropnej poniewierce, w torturach duchowych — wieżą go konwenanse i „utarta droga do rangi“, do karyery. Ale w głębi ducha on tem wszystkiem gardzi. Drażni go polska muzyka i po ścianach złożone pałasze. Pyta: czy my mamy prawo żyć i „tyć z trucizny, którą nas leczą?“

Po rozmowie dziennikarza z poetą wchodzi Rycerz czarny. Chwyta on poetę za rękę i wiąże go arkanem. Ten Rycerz czarny „to piastun myśli poety,“ wzywa więc go do opiewania dawnych czynów bohaterskich:

Zbieraj się skrzydlaty ptaku,
nędzarzu, na koń, na koń
. . . .
A czy wiesz czem ty masz być?
o czem tobie marzyć, śnić?
. . . .

Na głos mój, ty będziesz drżał:
Grunwald, miecze, król Jagiełło!
hajno się po zbrojach cieło
a wicher wył i dął i wiał;
stosy trupów, stosy ciał
a krew rzeką płynie, rzeką!
Tam to jest!! Olbrzymów dzieło
Witold, Zawisza, Jagiełło
. . . .
Tam leć — tam chodź, tam leć!!!
brać z tej zbrojowni zbroje,
kopije, miecz i szczyt,
i stać tam wśród krwi,
aż na ogromny głos
bladością się powlecze świt,
a ciała wstaną,
a zbroje wzejdą,
i pochwycą kopije i — przejdą!!
Spiesz! tam leżą stosy ciał!
Przeparłem trumniska wieko;
Czas bym wstał, czas bym wstał!

Z kolei ukazuje się panu młodemu Targowica w postaci Branickiego. Wprowadzają go, a właściwie wloką djabły w moskiewskich oficerskich mundurach. Pan hetman ma na szyi zawieszoną opałkę ze złotem moskiewskiem, które rozrzuca wokoło siebie — nie braknie mu go nigdy, — co rozsypie, to djabli przez noc dosypią. Piją oni jego krew, szarpią mu pierś, gnają przez puszcze, lasy, ugory. Pan młody zawołał: Jezu! i djabli zniknęli. Skarży się na nich Branicki, ale nie traci pychy i przeklina chamów i całą polską hołotę.

Branicki: Asan mi tu Polski nie żałuj
jesteś szlachcic, to się z nami pocałuj

Pan młody: bierz cię djabli!

I biorą go djabli, ale jeszcze odchodząc woła:

Złoto pali, złoto war,
sursum corda! vivat car;

Po tym „złotym, weselnym panie“ ukazuje się dziadowi widmo Szeli, zbluzgane krwią, z orderem na łachmanach — co stąpnie to plamy krwiste zostawia na podłodze. Chce kubła wody, aby ręce umyć i suknie prać, bo „wtedy nic nie będzie znać.“ Chce hulać na weselu — jeno plama na czole wstydem go parzy.

Fantastyczne postacie znikają ze sceny — przyjdzie jeszcze jedna, lecz tymczasem przewijają się po scenie goście weselni. Są już dobrze podochoceni, pełni miłosnych zapałów. Wpada nareszcie do izby parobek Kuba i donosi że na koniu „ogromcu“ przybył jakiś

„wielgi pan“ w ubraniu czerwonem z siwą brodą i lirą u siodła. To Wernyhora.

Rozmowa Wernyhory z Gospodarzem jest jednym z piękniejszych ustępów dramatu, a zarazem podkładem ideowym dla aktu trzeciego. Podajemy ją przeto prawie w całości.

Gospodarz: Wolnoć spytać o nazwisko?

Wernyhora: Nie poznałeś?

Gospodarz: Ktoś mi znany,
Ktoś serdeczny, ktoś kochany,
ktoś co groźny — dawny, stary
jak wiek cały —

Wernyhora: dawnej wiary.
Przypominasz krwawe łuny
i jęk dzwonów i pioruny
i rzeź krwawą, krwawe rzeki?

Gospodarz: A sen, sen, jakiś daleki
jeszcze w uszach mam te dzwony,
mieszają weselne grajki,
jakieś stare dumy, bajki.

Wernyhora: Jeszcze w uszach mam te dzwony,
ponad ich weselne grajki
jęk posępny, jęk męczący
tyle krwi, rzezanych ciał...
Ja tam był, przy trupach stał,
jeszcze w uszach mam te dzwony —
patrzyłem się na lud święty
jako upadał przeklęty
przekleństwami potępiony,
kiedy ojce klną na synów
kiedy syny przeklną ojce —
Takie jęczące ogrójce
łez krwawiących, łez serdecznych
słyszałem w tych głosach wiecznych,
w głosach dzwonów, jęk szalony...
jeszcze w uszach mam te dzwony
. . . .

Ja stałem w pożarnej łunie
na siwym, na siwym rumaku,
czekając Bożego znaku...
za mną piorun, po piorunie
bije z chmur, przez niebo błyska.

Gospodarz: Rzecz daleka — taka bliska,
ktoś mi znany, niespodziany
ktoś, o którym jeszcze wczora
tylko we śnie, tylko w marze
Pan — dziad z lirą.

Wernyhora: Wernyhora.

Gospodarz: Ty na koniu, siwym koniu
po przed dom mój, z wieścią?

Wernyhora: Z słowem

Gospodarz: Ty ze słowem, — ty ze słowem?

Wernyhora: Ja z rozkazem.

Gospodarz: Rozkaz — Słowo...
dawno serce już gotowo,
tem wezwaniem piorunowem.

Wernyhora: Słowo, Rozkaz — Rozkaz — Słowo —
dla serca, serce gotowo.
Słuchaj panie Włodzimierzu
oto chwila osobliwa
Pomówimy o przymierzu
. . . .

Ma być jawne, co jest krytem
co daleko było — blizko —
dziś u Waści weselisko
prawie, że są wszyscy społem
roześlesz wici przed świtem,
niech jadą na cztery strony
. . . .

Bądź gotów nim wstanie słońce.
Skoro porozsełasz gońce,
zgromadzisz lud przed kościołem
jak są zdrowi, prości, mali,
ażeby godność poznali —
Bogiem powitasz ich kołem,
a wtedy przykaż im ciszę
niech żaden brzeszczot nie szczęknie,
a skoro rzesza uklęknie,
niech wszyscy natężą słuch
czy tententu nie posłyszą
od krakowskiego gościńca.

Gospodarz: Wytężam, wytężam słuch.

Wernyhora: Ja wiem żeś jest asan zuch —
od krakowskiego gościńca
czy tententu nie posłyszą,
czy już jadą z Archaniołem.

Gospodarz: Wytężam, wytężam słuch
choćby i największy zuch...
jakto, co to, rozpoczęcie?

Wernyhora: słuchać ślepo, wierzyć święcie
ja wiem, żeś jest asan zuch.

Gospodarz: Ja mam stanąć przed kościołem
to jak we śnie prawda żywa,
któż mnie darzy tym zaszczytem
któż śle ku mnie dawne gońce?
Chwila dziwna, osobliwa...

Wernyhora: Bądź gotów nim wstanie słońce

Gospodarz: Wstaną kosy w słońca świcie
będę gotów

Wernyhora: Przysiąż słowo

Gospodarz: Rzekłem.

Wernyhora: Przysiąż.

Gospodarz: Rośnie życie!
Czyli marą ty widmową
czyliś waść jest upiór grobów
czy ty próchno, czy ty czarem,
żeś ze słowem przyszedł starem,
żeś na mnie użył sposobów
i co we mnie tajemnicą
ty mówisz jak sen prawdziwy
jako żywo, jako żywo

Wernyhora: Mówię Słowo — rzecz prawdziwą —
chwila, chwila osobliwa
wybrałem dziś weselisko
twój dworek, dróżkę, zagrodę, —
Słyszysz, wielki deszcz się pluszcze
słyszysz, chrzęszczą wielkie drzewa
i jako trzaskają kuszcze
to tam moja drużka śpiewa,
tysiąc koni dudni bije
ze złotemi podkowami.

Gospodarz: Jezus, zmiłuj się nad nami.

Wernyhora; Leć, kto pierwszy do Warszawy
z chorągwią i hufcem sprawy
z ryngrafem Bogarodzicy,..

Kto zwoła sejmowe stany,
kto na sejmie się pojawi
sam w stolicy — ten nas zbawi!

Gospodarz: Jako żywo, jako żywo
waść mi takie dziwa prawi
i to jako rzecz prawdziwą.

Wernyhora: Wszystko święte, wszystko żywo:
zdaleka, a miałem blisko
wybrałem twój dom zagrodę,
i wybrałem weselisko
Waszmość rękę miej szczęśliwą —
Daję Waści złoty róg!

Gospodarz: Złoty róg!

Wernyhora: Możesz nim powołać chór

Gospodarz: Bratni zbór

Wernyhora: Na jego rycerny głos
spotężni się Duch
podejmie Los. —
Daję w twoje ręce róg.

Gospodarz: Dziękuj Bóg.

Wernyhora: Waść masz porozsełać wici
lud zgromadzić przed kaplicą.

Gospodarz: Jutro? — skoro się zgromadzą?
mają radzić? — co uradzą?

Wernyhora: Jutro wielką tajemnicą,
jutro skoro się zgromadzą,
niech nie radzą, nic nie radzą
jednoć niechaj w ciszy staną —
jutro wielką tajemnicą
a ty wstawszy bardzo rano
skoro zejdzie pierwsze słońce
ku drogom natężaj słuch.

Gospodarz: Jutro?!

Wernyhora: Jutro!!!

Gospodarz: Wszelki duch!

Wernyhora odjechał, pozostawiwszy złotą podkowę. Gospodarz w zapale chce zdejmować broń ze ściany i dając złoty róg drużbie Jaśkowi każe mu zwoływać chłopów z kosami. Jasiek słucha rozkazu i pędzi w czarną noc, pukać do chat i zwoływać lud z bronią przed kaplicę.

Akt trzeci zaczyna się ze świtem. Znać ogólne znużenie na całem „weselu.“ Poeta Nos spił się porządnie — wszystko go nudzi, musi pić, bo wtedy w piersi serce czuje — „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił.“ Czepiec podochocony robi awanturę z muzykantami. Rachela flirtuje z poetą, który „muzykę jej serca,“ obiecuje co do wiersza umieścić w powieści. Panna Haneczka miałaby ochotę całować drużbów. Panna Maryna czuje „jakąś kaskadę czułości“ i opowiada jak chłopi mówili o Polsce „rozsądnie i szczerze“ — widzi ona „przemianę w całej polskiej naturze.“ I poeta czuje, że jest przemieniony, ale jeszcze sobie nie wierzy — »podłość i głupota jak psy wlokły się« koło niego, a teraz „na skrzydłach mu cięży jakby ciężar cudzych łez“ — boli go, że mu ktoś skrzydła rozwija a ktoś pęta, że czuje jakąś rękę świętą, i inną dłoń przeklętą. Następnie Kuba opowiada Czepcowi o jakimś „znakomitym panu« co był u gospodarza, o pozostawionej złotej podkowie i o Jaśku, który po rozmowie z Gospodarzem wołał: bić Moskali! Tymczasem koło studni przy gościńcu już się ludzie „kupią.“ Czepiec wychodzi i powróciwszy z kosą w ręku budzi zaspanego gospodarza:

Wstawaj pan
boś pono rozkaz wzion
jakiś ważny, najważniejszy
i papiery, czy tam co...
Pan majom pójść razem z chłopami,
a chłopi tu wsyscy już som
gotowi i stoją tam!

Gospodarz: Coście kumie, coście chłopie
zbajczyli przez długą noc?
Ja z wami?

Czepiec: Wy z nami!

Gospodarz zdziwiony patrzy na kosy, poeta i pan młody nie rozumieją o co idzie — więc im Czepiec mówi krótko:

Panowie, jageście som
jeśli nie pójdziecie z nami
to my na was — i z kosami

Gospodarz: Wy, a jako —

Poeta: Wiecie, kto my?
Co wy o nas wiecie? nic.

Czepiec: A pon widno niewidomy,
Widać, że nie znacie nas.

Gospodarz: A, wstydzę się waszych słów,
choć nie radość z waszych lic.

Czepiec: Wyście bo to żarnych świc
rozpalili z naszych lic.
Panie, a cy Pon pamięta,
jak pon szeptoł nieraz w noc,
jako w nos jest wielga moc,
Jako że moc jest zaklęta,
że się kiedyś opamięta.
Wyście to pożarnych świc
rozpalili z naszych lic.

Pan młody: A wy zaraz w rękę nóż.

Czepiec: A cóż czekać, czy ja tchórz.

Ale choć „chłopska krew“ odzywa się w Czepcu, choć przekłada, że „zaruśko kur zapieje a na nas czekają w mieście,“ nie znajduje jednak posłuchu. Pan młody poetyzuje, — poecie się coś przypomina: jakiś sen, słyszał brzęki liry. W drzwiach ukazuje się dwóch chłopów z kosami. Czepiec błagalnie pyta gospodarza: kto tu był? Gospodarzowi zaczyna coś „świtać,“ ale „myśl ukryta nie może się dobyć z głębi.“ Chłopi z kosami nie chcą puścić do izby panny młodej, bo „tu się ważne grają sprawy, nie trza żadnych bab.“ Okazują się jakieś znaki: pan młody widzi wielkie stado białych gołębi, poeta huragan czarnych wron. Wpada gospodyni z wieścią, że jakieś wojsko w ogniu stoi, a całe pole pod Krakowem „roi się od kosisków.“ Słychać w powietrzu wrzawę, śpiew, — leci ogromny ptak, widać na niebie jakiś ruch, jakieś gonitwy konne, ukazują się w chmurach rycerze ogromni — a do izby coraz to więcej chłopów wali się z kosami. Nareszcie gospodarz przypomina sobie jakiegoś człowieka z brodą siwą a w pamięci jego dopomagają chłopcy, co trzymali konia Wernyhorze. Tak, był ktoś tego rana i kazał rozesłać wici.

Był u mnie duch Wernyhory
oblatywał nocą dwory
dawał mi rozkazy, hasła
. . . .
Kazał broń, broń kazał brać,
czekać jak zapieje kur,
wytężać, wytężać słuch,
aż się pocznie słyszeć ruch,
od Krakowa na gościńcu
. . . .
Wjedzie stary lirnik siwy
i przeżegna lirą niwy
wtedy trzeba się pokłonić
potem siąść na koń

Wszyscy zostają pod wpływem tej zapowiedzi,— jednoczą się w myślach i we wspólnem oczekiwaniu. Boją się mówić głośno, aby pierwszy tentent konia nie uszedł ich słuchu. „Rany Boskie, słyszę“ — woła Haneczka — ale to tylko z drzew spadły suche liście. Nareszcie zatentniało, zadudniło...

Gospodarz; Słuchajcie, kochani, dzieci, —
ażeby to była prawda
że Wernyhora tam leci
z Aniołem z Archaniołem na czele:
że tej nocy, gdy my przy muzyce
przy weselu, gdy my w tańcowaniu
tam, kędyś, stało się tak wiele
że Kraków ogniami płonie
a Matka Boża w koronie
na Wawelskim zamkowym tronie
siedząca, manifest pisze;
skrypt, co przez cały kraj poleci
i tysiące obudzi i wznieci,...
słuchajcie serce mi dysze —
ażeby to prawda była
że Wernyhora tam leci,
a za nim tabunem konie!...

Tentent nie był przywidzeniem — ale to Jasiek na koniu powrócił. Wchodzi udzielić wieści, lecz cóż to — wszyscy stoją jakby pośnięci. Ach prawda — Jasiek ma zatrąbić w róg. Ale gdzie on jest? — zgubił go, kiedy schylił się po upuszczoną czapkę z pawiem piórem — został mu tylko sznur...

Na scenie ukazuje się Chochoł. Jaśka zdejmuje strach kiedy patrzy jak „wszystkim dech zaparło w dusach, jako drzewa wrośli w ziemię.“

Jasiek: Tak się męcą, pot z nich ścieka
bladość lica przyobleka,
jak ich zwolnić od tych mąk?

Chochoł: Powyjmuj im kosy z rąk,
poodpasuj szable z pęt,
zaraz ich odejdzie Smęt;
na czołach im kółka zrób,
skrzypce im do ręki daj,
ja muzykę zacznę sam,
tęgo gram, tęgo gram.

Jasiek odbiera kosy ze sennych dłoni. Chochoł każe mu pozakładać wszystkim ręce jak do tańca — a sam zaczyna grać. Śpiące pary zwolna się okręcają. Tylko Jasiek nie ma pary...

Chochoł (gra i śpiewa): Miałeś chamie złoty róg,
miałeś chamie czapkę z piór,
czapkę wicher niesie,
róg huka po lesie, —
ostał ci się ino sznur.
(Kogut pieje).

Jasiek (przerażony): Jezu! Jezu! zapiał kur,
hej, hej bracia, chyćcie koni
chyćcie broni, chyćcie broni,
czeka nas wawelski dwór!!!

Chochoł (gra): Ostał ci się ino sznur,
miałeś chamie złoty róg!

Jasiek: Nic nie słysom, nic nie słysom
ino granie, ino granie
jakieś ich chyciło spanie
(Kogut pieje).
pieje kur, ha, pieje kur

Chochoł (gra): Miałeś chamie złoty róg...
(Zasłona spada).

Wrażenia nasze podajemy na innem miejscu.

B. [illegible]

HERMAN BAHR O „QUO VADIS“ SIENKIEWICZA.

Herman Bahr, pomimo młodego stosunkowo wieku — liczy bowiem 37 lat — zajął jedno z najwybitniejszych stanowisk w publicystyce niemieckiej, a specyalnie stoi on na czele literackiej kolonii w Wiedniu i nadaje ton i kierunek tamtejszym prądom lokalnym. Jest on dla Niemców austryackich tem, czem jest Bolesław Prus dla Warszawy. Otacza go szacunek współobywateli i fanatyczne uwielbienie wszystkich czcicieli pięknej literatury. „Bahr hat gesagt“ jest to wiedeńskie „Roma locuta“ i od tego orzeczenia opinia publiczna nie zna apelacyi.

Urodzony w Lincu 1863 r., studyował filozofię i prawo na uniwersytetach w Wiedniu, Gracu, Czerniowcach i Berlinie, objechał potem w celach naukowych całą Europę a pierwsze jego wystąpienie publiczne „Die Einsichtslosigkeit des Herrn Schäffle“ (Zurych 1886 r.) pozwalało już w nim spodziewać się znakomitego krytyka i polemisty. Osiadłszy następnie w Wiedniu, stanął na czele „młodych Niemiec“ i do spółki z takimi publicystami jak Otto Brahm i Arno Holz wydawał głośną ongi „Freie Bühne“. On to, powróciwszy po dłuższym pobycie w Paryżu do Wiednia, wprowadził i rozpowszechnił pojęcia takie jak „decadence“, „fin de siécle“, „moderne“ (w przeciwstawieniu do „antike“) i wywołał formalny przewrót w ówczesnych pojęciach estetyki literackiej.

Nagle, gdy ta rewolucya na polu duchowego piękna dochodziła do zenitu, stała się rzecz niespodziewana: wielki mistrz modernizmu uznał wytknięty przez siebie kierunek za fałszywy i w słynnem piśmie „Zur Kritik der Moderne“, po którem nastąpiło niemniej głośne „Die Überwindung des Naturalismus“, odwołał swoje błędy, nawołując równocześnie do powrotu na drogę prawdziwego piękna i ideałów.

Ale łatwiej było rozpętać duchy modernizmu, niż zakląć je znowu w ciemnię zapomnienia. Część uczni nawróciła się za swym mistrzem, inni jednak poszli dalej w wytkniętym początkowo przez niego kierunku. Bahr, zamiast wypowiedzieć zawistną wojnę dawnemu kultowi, starał się przywrócić znaczenie i powagę klasyczno romantycznemu kierunkowi przez pisanie pięknych utworów o takimże podkładzie. W ten sposób powstały jego prace dramatyczne „Die neuen Menschen“, „Die grosse Sünde“, „Die Mutter“, „Die häusliche Frau“, „Josefine“ i „Die Wienerinen“ *) i powieści „Die gute Schule“, „Fin de siécle“, „Russische Reise“ i „Dora“. Kreacye te uczyniły nazwisko jego głośnem, zapewniły mu jego obecne stanowisko. Był do niedawna redaktorem wiedeńskiego dziennika „Deutsche Zeitung“, obecnie jest redaktorem „Neues Wiener Tagblatt'u“, gdzie prowadzi recenzye teatralne i fejleton.

Bahr jest zbyt popularnym i lubianym przez swoich publicystą, aby mógł w Wiedniu spokojnie pracować. Chcąc uniknąć ciągłych odwiedzań i rozmaitych dowodów sympatyi, zamieszkał w St. Veith, w uroczej okolicy Wienerwaldu. Na wzgórzu, dominującem nad całą miejscowością, wznosi się piękna, w stylu secesyi zbudowana willa, własność i siedziba Hermana Bahra. Znałem go jeszcze z tych czasów, gdy był modernistą. Jest to wspaniale zbudowany mężczyzna, wybitny typ południowca o śniadej cerze, z klasycznym profilem twarzy i piękną czarną brodą. Zastałem go przy pracy. Siedział przy olbrzymim, białym stole, przed nim arkusz papieru, książka i ołówek. Zresztą w całym pokoju nie widziałem ani jednego szpargału więcej, żadnej gazety, żadnej broszury. Było to wprost nieliterackie otoczenie. Rozmowę naszą skierowałem od razu na Sienkiewicza.

„Przyznam się panu“ rzekł Bahr, „że dysputa o tym bez wątpienia największym powieściopisarzu współczesnym jest dla mnie nieco ambarasującą. Z dzieł jego czytałem tylko „Quo vadis“ i to pod presyą jakich okoliczności! Niemieckie tłomaczenie tego arcydzieła widziałem na łamach wiedeńskiego „Fremdenblatt'u“, ale skazany na pilne obserwowanie bieżącej a tak olbrzymiej literatury niemieckiej, literalnie nie miałem czasu na czytanie tej powieści. A także nie lubię czytać ratami. To psuje wrażenie ogólne.

W roku 1899 podróżowałem po Włoszech. Ukazały się tam właśnie pierwsze tłomaczenia „Quo vadis“. Powieść ta wywoływała w całych Włoszech olbrzymie wrażenie. W każdem mieście i miasteczku, w każdej kawiarni, restauracyi, w wagonach, w tawernach, wszędzie mówiono tylko o Sienkiewiczu i o jego „Quo vadis“, które jednogłośnie uznawano za najpotężniejszą kreacyę współczesnego piśmiennictwa. Postanowiłem przeczytać to dzieło, ale jak to bywa w podróży — dzień za dniem upływał — i wróciłem nareszcie do Wiednia bez zapoznania się z tą martyrologią idei chrześciaństwa.

W zeszłym roku przyjechał do Wiednia na gościnne występy słynny włoski artysta dramatyczny Novelli. Spędzaliśmy razem całe dnie i spowiadał mi się, że w jego życiu nic nie wywarło na nim równie potężnego wrażenia jak — „Quo vadis“. Był tem dziełem przejęty, rozentuzyazmowany — i znowu powziąłem postanowienie, przeczytania tej książki“.

— „I przeczytałeś ją pan nareszcie?“

— „Niestety, znów się skończyło na dobrych chęciach tylko. Ale zeszłego roku byłem na wystawie paryskiej. Patrzę, we wszystkich oknach księgarń widnieje na pierwszem miejscu „Quo vadis“ — plakaty donoszą o wyjściu z druku „Quo vadis“ — gazety przepełnione są recenzyami i zachwytem dla „Quo vadis“. Teraz kupiłem sobie francuskie tłomaczenie tej powieści i zacząłem czytać. Po pierwszych kilku rozdziałach zapomniałem o Paryżu, o wystawie, o wszystkiem.

Wrażenia, jakie na mnie wywarło opowiadanie waszego Sienkiewicza, nie umiem panu opisać. Mojem zdaniem jest to największe arcydzieło literatury światowej. Nie czytałem innych rzeczy Sienkiewicza, ale „Quo vadis“ wystarcza, aby go uwielbiać. Inni znajomi moi mają to samo o nim zdanie“.

— „Mówisz pan jako literat, a ja przyszedłem do pana jako do estety i krytyka —“

— „I z tego punktu widzenia można się tą książką zachwycać tylko. Przedewszystkiem imponuje mi „Quo vadis“ jako zaokrąglone, zamknięte w sobie arcydzieło. Sienkiewicz ze zdumiewającą symetryą i równomiernością rozdzielił w niem światła i cienie, każdy szczegół podkreśla ideę całości, epizodyczność, tak częsta a tak piękna, zamiast — jak się to zwykle dzieje — spychać na drugi plan myśl przewodnią, jeszcze ją bardziej uwydatnia i cudnie koloryzuje. Wszystko, najdrobniejsze nawet szczegóły, zlewają się tam do wspaniałej symfonii, która zachwyca i odurza zarazem.

W wolnomyślnej Francyi słyszałem zarzut, że tendencya tego dzieła jest reakcyjną. Ja nie znajduję danych na usprawiedliwienie tego zarzutu. A gdybym nawet odkrył w tej arcychrześciańskiej powieści dążności reakcyjne, to przyznam się panu, że coś podobnego nie jest dla mnie miarą krytycyzmu dzieł literackich powieściowych. Przekonania polityczne, społeczne i religijne, nie powinny być w tym wypadku

*) Te dwie ostatnie sztuki były niedawno grane na scenie krakowskiej: „Józefina“ i „One“.

brane w rachubę. Śmiesznością byłoby żądać jednakiego kierunku i jednakowych tendencyi od wszystkich autorów. Chodzi tu głównie o to, czy autor ze swych przekonań i ze swych ideałów umiał wyrzeźbić literackie arcydzieło, imponujące skończonością form, symetryą pojedynczych części, harmonią najdrobniejszych nawet szczegółów. I właśnie pod tym względem Sienkiewicz jest mistrzem, którego wam świat cały zazdrościć może."

Chciałem się jeszcze zapytać Bahra, czy uznaje wybitnie pokojową ideę tej powieści, której tak dalece dopatrzyła się krakowska Akademia Umiejętności, że przedstawiła „Quo vadis" do nagrody Nobla, gdy wejście uroczej gospodyni, żony Bahra, wytrąciło nas z tej dyskusyi.

St. Br.

SZ. ASKENAZY.

Rządy trzech mocarstw po ostatnim rozbiorze Polski.*

Dopiero, przed samym progiem XIX wieku, były zmiecione ostatnie ślady Rzpltej. Dopiero, przed krótką chwilą ostatniej demarkacyi ukończone prace. Wcielone ogółem do Rosyi półdziewiąta tysięcy mil kwadratowych, do Prus przeszło półtrzecia, do Austryi niespełna półtrzecia tysiąca. Wzięte ogółem do Rosyi około siedmiu milionów dusz, do Prus bez mała półczwarta, do Austryi ponad trzy miliony. Przymnożona Rosyi ludność o jedną czwartą, Prus rozległość z górą zdwojona, Austryi obszar i zaludnienie w jednej dziesiątej podniesione części. Przesłoniona jeszcze i utajona, lecz już niechybna, już dotykalna, rzeczywistym ilościowym rozświecona stosunkiem, rzeczywista zobopólnych pożytków wzajemność: najlichszych — Austryi, najjawniejszych — Prus, najcelniejszych, najtrwalszych, najstrawniejszych — Rosyi. Zaś nadto taka wzajemność mocniej jeszcze, niż na ilościowym, na głębszym jakościowym fundowana przymiocie, gdyż nietylko samą proporcyą liczby, lecz przedewszystkiem doborem gatunku rządzona. Rządzona mianowicie jedną, milcząco z góry założoną, a pod koniec wcale oczywistą i wymowną zasadą wytyczną: etnograficznego doboru. Wielkopolska, Małopolska, Mazowsze, rdzenne ośrodkowe ziemie polskie, Prusom i Austryi wydzielone; Ruś, Litwa, Inflanty, z ogromnem rosyjskiem zjednoczone imperyum, żywioły raczej pochodne i w sobie różnolite, stąd snadniej podobno topliwe i wchłonne, podatniejsze do skorszej infiltracyi i trwalszych przeobrażeń. W pewnej mierze stało się to wprawdzie wbrew pierwotnemu punktowi wyjścia, było zwichnięciem pierwotnej obszerniejszej i śmielszej koncepcyi, pod naciskiem okoliczności i mocarstw współdzielczych. Lecz ostatecznie obróciło się poniekąd ku pożytkowi. Niezmiennego pierwotnego zagadnienia zmienione jeno, a poniekąd udoskonalone sposoby. Pierwotna myśl Piotra Wielkiego, ogarniająca powszechność Rzpltej, z drogi ryczałtowego rozwiązania na bezpieczniejsze, kolejne wprowadzona stopnie. Punkt ciężkości tymczasem za naturalną granicą Niemna, Buga, Dniestru, silnie stanowiony, pozostałe niezrównoważone brzemię sąsiadom poruczone, reszta na przyszłość zdana.

Taki stan rzeczy był wniesiony do wstępu wieku niniejszego na mocy obowiązujących wtedy sankcyi umownych trzeciego podziału, jak zostały sformułowane w ostatecznej osnowie w traktacie petersburskim 1797 roku. Ów trzeci, zupełny akt rozbiorowy, posiadał znaczenie ze wszech miar wyjątkowe. Nosił wyjątkowe piętno prawno-polityczne, jakiego nie miał żaden ani z poprzednich, ani z następnych aktów podziałowych. Stanowił nietylko nowe granice geograficzne, lecz oraz kulturalne. Wprowadzał zasadnicze nowości do międzynarodowego prawa cywilnego. Zniesiono tutaj zgoła, we wszelkiej postaci, pojęcie prawne poddanych mieszanych *(sujets mixtes)*, obowiązano do niezwłocznej opcyi poddaństwa, do wyprzedaży dóbr zakordonowych w ciągu lat pięciu pod karą konfiskaty, do likwidacyi wszelakich należności i obrachunków zakordonowych, zastosowano tę zasadę do spadków, do dóbr duchownych, przecięto stosunki międzyrozbiorowe dla osób i towarów, przez wzajemne zakazy przejazdu, wzajemne zakazy edukacyi w szkołach zakordonowych, wzajemne polubowne obostrzenia celne. W tajnym artykule dodatkowym rzeczonego traktatu stwierdzona została „konieczność usunięcia wszystkiego, co mogło-by przypomnieć byt Królestwa Polskiego", i zarazem w tym celu od wszystkich trzech mocarstw traktatowych dane było zobowiązanie formalne nieużywania nigdy w swoich tytułach publicznych wyrazu „polski", który „odtąd po wszystkie czasy zostaje zniesiony". To było ostatnie słowo XVIII wieku. Niedługo dało się ono przecie w pełnej utrzymać mocy. Odwołane w Tylży głosem Napoleona, zostało z gruntu odmienione w Wiedniu przez własne orzeczenie Aleksandra I. Wszakże przypomnieć należy, że w ciągu całego dziesięciolecia, pomiędzy traktatem petersburskim a tylżyckim, w pewnych względach nawet aż do wiedeńskiego, tamto słowo było prawem. To też ów okres dziesięcioletni jest właściwą próbną dobą wyzwolonego działania pełnej zeszłowiecznej racyi stanu. Działanie

*) Wyjątek ze studjum: „Pożegnanie stulecia". *(Biblioteka Warszawska).*

w trójnasób łączne, sprowadzone do wspólnego mianownika w ostatnim traktacie podziałowym, wszelako z każdej strony w pewnym szczególnym górowało kierunku. W dziale austryackim chodziło głównie o wyzysk, w pruskim — o eksmisyę, w rosyjskim — o przetworzenie. Rozmaita czynność, gdyż rozmaity przedmiot spadkodawczy, zaś nadewszystko — gdyż rozmaity podmiot spadkobierczy. Donataryusz poboczny, na odczepne indemnizowany ułamkowem dożywociem — to Austrya. Współsukcesor — to Prusy. Legataryusz powszechny — to Rosya. Równoległy stosunek dążeń górujących miał głębokie uzasadnienie w samej istocie równoległych stanowisk udzielczych.

Rozpoczęły stulecie gubernie zachodnie pod groźnem, lecz skądinąd łaskawszem berłem Pawła I, ażeby, po kilkunastu zaledwo tygodniach, znaleźć się pod bardziej obiecującem młodego Aleksandra I. Przeszły trzy litewskie, po niezdrowej administracyi pierwszego wielkorządcy, Repnina, pod władzę surową, sztywną, lecz równomierną generał-gubernatora litewskiego, Bennigsena; dwie białoruskie, po dowolnem gospodarstwie Tutołmina, — pod ścisły, lecz stalszy zarząd gubernatora wojennego, Rymskiego-Korsakowa; poprawiło się położenie trzech południowych, po odwołaniu Bekleszewa z generał-gubernatorstwa kijowskiego, który atoli, na nowem stanowisku ober-prokuratora Senatu petersburskiego, w blizkiej pozostał styczności z ogółem spraw bieżących kraju zachodniego. Uwzględniał życzliwie młody monarcha potrzeby polskich swoich poddanych, których tłómaczem bezpośrednim został w pierwszej chwili mający jego ucho doradca, nawet przyjaciel, niebawem kurator wileński i minister spraw zagranicznych, ks. Adam Czartoryski. Do III Departamentu Rządzącego Senatu petersburskiego, najwyższej obecnie, od zniesienia Trybunału wileńskiego, instancyi sądowej dla gubernii zachodnich, wprowadzeni niektórzy, jak Seweryn Potocki, Iliński i inni, bądź Polacy, bądź polskiego nazwiska Rosyanie. Pomniejsze polskiego pochodzenia osoby do rozlicznych petersburskich zarządów i dykasteryi w niemałej wprowadzone liczbie. Urodzona dopiero niedawno, doby targowickiej, polska w Petersburgu kolonia, dotychczas poza obrębem krajowej opinii publicznej, teraz, za pośrednictwem kilku celniejszych przedstawicieli, skonsolidowała się i zyskała pewne ze społeczeństwem zetknięcie. W samym kraju zachodnim zostawiony Statut litewski, powołany i nadal jeszcze do czterdziestoletniego trwania; zostawione oraz niższe wyborcze sądy miejscowe. Potrzeby rekruta, w tym ciężkim okresie bądź wojen, francuskich, szwedzkiej, tureckiej, bądź przygotowań wojennych, dla całego państwa nader znaczne, — aczkolwiek względnie dużo mniejsze, niż w sąsiedniej Austryi, — sposobem kantonowym, służbą dwudziestopięcioletnią, ściągane. Podatki dla rzeczonych gubernii, uznanych za najbogatsze, w odpowiednym względem innych podwyższone stosunku; wszystkie zresztą pobory — także i pośrednie: stempel, wykup rekruta, opłaty pocztowe, — w brzęczącej monecie nominalnie liczone. Natomiast, skutkiem rosnących nieuniknionych wydatków wojennych wyczerpany skarb do coraz żwawszej emisyi asygnat przymuszany. Stan ekonomiczny już z natury ogólnego położenia ciężki, w szczególności nadto zepsuty skutkiem akcesu do blokady kontynentalnej: kraju rolniczego główne źródło zamożności wręcz zatamowane. W drodze znacznych nadań, — Pińszczyzna, Ostróg, Prużany, Kobryń. — instalowany nowy żywioł; w drodze przyjęcia rozległych królewszczyzn do skarbu, — nowe zasady gospodarcze. Stosunki poddańcze głębokim uległy zmianom. Powinności, dotychczas na ziemi, na jednostce martwej, na dymie, stojące, i stąd zwyczajem, jeśli nie prawem, w mało zmiennych trzymane granicach, obecnie na człowieku, na jednostce żywej, na duszy oparte: odtąd obrok od pięciu do siedmdziesięciu, i nawet wyżej, rubli srebrem zmienny, pod solidarną nadto gminy poręką. W dwóch dziedzinach najwydatniej wszechstronna widoma poprawa: kościelnej i edukacyjnej. Konkordat, zawarty przed paru laty przez Pawła I z Piusem VI, stanowiący prawne podstawy metropolii mohylowskiej, odtąd w oświeceńszym stosowany duchu; Kolegium Duchowne katolickie, w Petersburgu świeżo otwarte, od opłakanej Siestrzencewicza dyrektywy poniekąd wyzwolone; miejscowe sprawy pasterskie wyrozumialszym dozorowane porządkiem. W rzeczach wychowawczych na dużą miarę objawiła się dobroczynnie osobista monarchy życzliwość, nieskąpiona pracom Czartoryskiego i Czackiego, które zarazem w ministrze oświaty, hr. Zawadowskim, znawcy i miłośniku piśmiennictwa polskiego, zacnego znajdowały protektora.

Podniesiona Akademia wileńska na dostojeństwo wszechnicy, na wysoki oraz doskonałości stopień, piastując jednocześnie naczelną nad szkolnictwem opiekę. Drugie ognisko światła w gimnazyum wołyńskiem na południu zapalone. Powstały liczne szkoły powiatowe średnie, niższe parafialne dla biedoty, z nauką bądź darmą, bądź za pół korca żyta, a pod karą za nieuczęszczanie: pierwsza próba powszechnego i obowiązkowego nauczania ludu. W kierunku odrębnym, w ubolewania godnym współzawodnictwie, odstrychnęła się współczesna, kulturalnie mniej klarowna, albo nawet obosieczna, OO. Jezuitów edukacyjna działalność. Kolegium z nowicyatem w Połocku w samej chwili krytycznej wyprawy do Moskwy nazwą „uniwersytetu“ zaszczycone, prowadząc szkoły filialne w Dynaburgu, Mohylowie, Romanowie: niefortunny na Wilnie odwet, skoro wnet po pacyfikacyi Ojcowie z Petersburga wyproszeni, niebawem całkiem z granic państwa usunięci, ich „uniwersytet“ zamknięty. Osobne stanowisko względem pierwotnego kraju zachodniego przypadło dwom, w tym dopiero okresie przyłączonym prowincyom: białostockiej i tarnopolskiej. Białostockie, wzięte w 1807 roku z rąk nieprzyjacielskich Napoleona, a z dobytku Prus sprzymierzonych, już z uwagi na drażliwość takiego nabywczego wywodu wymagało osobliwego taktu w pierwszem administracyjnem dotknięciu. Powierzone zrazu pieczy sprytnego wielkorządcy, dobrego Rosyanina o niemieckiem nazwisku, senatora Theylsa, zachowało pozory okkupacyi tymczasowej, zachowało nawet sporo byłych urzędników pruskich, jak gdyby na wypadek zwrotu, lecz zarazem w rzeczywistości zostało poddane systematycznej robocie reorganizacyjnej, w przewidywaniu stałego wcielenia. Podobnież Tarnopolskie, zyskane w 1809 roku z dobytku austryackiego, z większem jeszcze staraniem, choć tym razem na krót-

zsą metę, było urządzane, a również pod przezornym kierunkiem tego samego Theylsa, który, tutaj z kolei powołany, z żalem widział zniweczone owoce kilkoletniej pracy, i głośno piętnował jako zbrodnię stanu zwrot tej cennej zdobyczy na Kongresie wiedeńskim. Bądź co bądź, eksperyment niniejszej sześcioletniej w Tarnopolskiem administracyi przechodniej, choć narazie udaremniony, arcyważną zachował doniosłość: wszak chodziło tu o rzecz zasadniczą, o organizacyę części Galicyi Wschodniej, z przeważającą ludnością rusińską, pod berłem wszechrosyjskiem. Z najogólniejszego wreszcie stanowiska, w całej rzeczonej wielkiej dzielnicy, w tej tak nadzwyczajnej, a tyle obiecującej dobie Aleksandra I, ujawniły się pod względem politycznym i społeczno-obyczajowym, szczególnie w wyższych warstwach towarzyskich, szerokie, a dość nieokreślone, prądy komplanacyjne, czy to w kształcie powszechnych planów odrodzenia pod potężną Aleksandra protekcyą z 1805 roku, czy to ściślejszych planów wiernopoddańczej przy nim unii z 1811 roku, czy też codziennej praktyki mnożących się związków rodzinnych i pojednawczej kulturalnej wymiany, prądy w ideowych pobudkach i odcieniach nader różnolite i różnowarte, a zbiegające się w realnej skuteczności dla pokojowych celów stopniowego przystosowania i przetworzenia.

Stanęły Prusy mocą trzeciego podziału, w samym rdzeniu byłej Rzeczypospolitej, samem sercu Korony. Niedostępną dla niedołężnej ich broni, zdobytą dla nich orężem Suworowa, objęły na własność Warszawę. Dołączyły stolicę do insygniów. Na koronacyi Fryderyka Wilhelma III w Królewcu, przy składaniu wiernopoddańczego hołdu, deputacya polska, acz dobrana i karna, wzdrygnęła się, straciła głowę, zapomniała o ceremoniale i w pomieszaniu i zgrozie wlepiła wzrok w poznane z nienacka klejnoty koronne z krakowskiego skarbca, jaśniejące w naszyjniku i djademie pięknej królowej Luizy. Podobnież, jubilerską rządową robotą, przystąpiono do przerobienia, aż do niepoznaki, dwóch najcenniejszych nowonabytych klejnotów, zowiących się w nowej oprawie: *Südpreussen* i *Neuostpreussen*. W Prusach Południowych, z Warszawą, po wstępnej zrazu administracyi przedajnego Hoyma, zarządzał, w czystszym u góry duchu, niewiele u dołu lepszym, minister Voss, wolny od najbardziej gorszących praktyk poprzednika, lecz niezdolny do utrwalenia elementarnych bodaj podstaw legalnych wśród podwładnej sobie żarłocznej rzeszy urzędniczej, sam biurokrata przedewszystkiem, człowiek raczej porządku, aniżeli prawa. Prusy Nowo-Wschodnie dostały się pod zarząd ministra Schroettera, typowego urzędnika-działacza i męża stanu pruskiego, w najtęższym i najniebezpieczniejszym rodzaju, jeśli nie w pierwszorzędnym rodzaju Steina, to w drugorzędnym Flottwella, twardej ręki, jasnej głowy, praktycznego zmysłu, celowych i systematycznych dążeń. Nadto część województwa Krakowskiego z Księstwem Siewierskiem, wcielona do Śląska, przeszła pod władzę zostawionego tam ministra Hoyma. Pierwotna na głównym obszarze haniebna gospodarka Hoymowska, zrodzona z zabagnionych tradycji poprzedniego panowania Fryderyka-Wilhelma II, raz utwierdziwszy się w prowincyach polskich, odtąd, mimo pewne reformatorskie dążności, coraz głębsze zapuszczała korzenie. Młody król pruski, kiedy osobiście zjechał do Warszawy i przyjrzał się naocznie, choć oczywiście najpobieżniej, stosunkom tutejszym, sam wręcz oświadczył swoim własnym ministrom, że tutaj „znaczna część urzędników pruskich nadużywa swojej władzy dla gwałtów, zamiast obracać ją na obronę uciskanych". Nadużycia brutalne istotnie, w każdej niemal dziedzinie, już z daleka wpadały w oko. Już we właściwej dziedzinie sprawiedliwości niesłychane działy się rzeczy. Jeśli podobno dawniej „bywali sędziowie w Berlinie", teraz na pewno nie było ich w Warszawie. Wprowadzone do kraju prawo cywilne i karne pruskie opłakanych znalazło wykonawców we wprowadzonych równocześnie sądach niemieckich.

Był wtedy w Warszawie jeden uczciwy prawnik-obrońca pruski, niejaki Winterfeld, biały kruk śród tylu czarnych, co wraz z reformą sądową były spadły za żerem do nowych prowincyi; owóż ten człowiek uczciwy nie przyjmował z zasady od Polaków żadnej sprawy przeciw władzom pruskim, albowiem, mawiał, nie ma sumienia podejmować się spraw, z góry przesądzonych i przegranych. Sprzedajność i krzywosądztwo we wszystkich instancyach były powszechne i jawne. Otwarty a niepodejrzany świadek, gorący pruski patryota a królewsko-pruski radca wojskowy i podatkowy, zblizka obznajmiony z działalnością swoich spółrodaków, towarzyszów, podwładnych i naczelników, z którymi razem przez czas dłuższy żył i pracował w prowincyach polskich, skoro tylko cenzura napoleońska rozwiązała mu język, odsłonił ponury obraz tutejszej gospodarki dla wiekopomnej nauki swoich i obcych. „Procesy sądowe, — są jego słowa, — które za czasów polskich rozstrzygane były w dni czternaście, zaś według procedury pruskiej winny były zostać ukończone najpóźniej w ciągu roku, wlokły się zazwyczaj przez trzy, nieraz nawet przez pięć do sześciu lat". Rozmyślnie, w interesie sądowników i skarbu, z reguły przewlekano najwięcej sprawy spadkowe i wogóle wszelakie, „gdzie można było uczepić się inwentarza, taksacyi lub depozytu sądowego". Do procederów codziennych należało dowolne poniżej wartości taksowanie cenniejszych ruchomości, ulegających z urzędu sprzedaży, a nabywanych niezwłocznie, w drodze podstawienia, przez sędziów-amatorów; natomiast na ubogich młodych wdowach „taksowano suknie, które miały na sobie, i nawet bieliznę". Nielepiej działo się w zakresie sprawiedliwości karzącej, gdzie w kilku głośnych wypadkach kompromitujące akta śledcze „ginęły" bez śladu, i gdzie w badaniu przedwstępnem panowała »*Rennschlittpeitsche*«, środek prawny ze skóry reniferowej.

(Dok. nast.).

Zygmunt Krasiński i H. Reeve.

W końcu października r. 1829 siedemnastoletni Zygmunt Krasiński wyjechał z Warszawy do Genewy. W parę dni po przybyciu do tego miasta spotkał w domu Lombardów równych lat sobie anglika, z którym niebawem złączył się najsilniejszą przyjaźnią i myślą bratnią. Długoletnia korespondencja pomiędzy przyjaciółmi przechowała się w znacznej części do naszych czasów. — Krasińskiego listów jest 129 a Reeve'a 41; różnica znaczna ztąd pochodzi, że Reeve oprócz listów Krasińskiego przechował i część własnych pisanych do poety po r. 1832, a Krasiński dalszych listów Reeve'a nie składał. Wnuk Adam Krasiński otrzymał tę pamiątkę z rąk Reeve'a i wyda korespondencję w roku bieżącym, obecnie zaś na tle jej napisał dla *Biblioteki warszawskiej* ciekawe studjum p. t. „Poeta myśli". Niezaprzeczając wartości tej pracy, wybierzemy z niej jednak przy streszczaniu przeważnie tylko ustępy illustrowane wyjątkami z listów Zygmunta Krasińskiego do przyjaciela.

W parę miesięcy po widzeniu się u Lombardów Henryk Reeve nie jest już dla Krasińskiego owym obojętnym młodym Anglikiem, jakich się tylu po szwajcarskich uniwersytetach spotyka. — Oto co pisze Zygmunt w liście do ojca z 21-go marca 1830 roku: „Dosyć często jeżdżę konno — z czasem Reevem, z którym mnóstwo mam dyskusyi filozoficznych, religijnych, poetycznych i literackich. Wielkie on posiada talenta, erudycyę obszerną i rozum nie nizki, ale z tem wszystkiem trochę jest zanadto mistyczny, naprzykład wierzy co do słowa w Apokalypsis; ale to jedno odsunąwszy, najpiękniejsze myśli i najwznioślejsze ma uczucia. Dziwnym jest on składem wszystkich namiętności młodości połączonych z chrześciańską dążnością i poezyą chrześciańską — szczery i bez żadnego udawania, ma charakter, do tego nieco trzeba dodać podejrzliwości angielskiej i zimnej krwi w obcowaniu.«

...W lipcu 1830 pisze Z. K. ojcu w liście, że może o Reevie powiedzieć: on mi jest przyjacielem. „Zdaje mi się, że znam jego duszę — jest ona piękna wzniosła, pełna myśli poetycznych i religijnych, nie unosi się w dumie nad światłem wieku nowego, jak jeszta młodzieży, która w tem świetle jak ćmy się popali, ale umie się unosić nad szlachetnością, nad ofiarami — i jest poetą — sądzę, że za kilka lat pierwsze miejsce będzie trzymał w literaturze angielskiej, a na to nie małego, nie nizkiego, nie pospolitego umysłu potrzeba". (11-go lipca 1830). Sąd ten ponawia Krasiński w liście z 26-go lipca 1831 r. mówiąc, że ufać zaczyna i wierzyć Reev'owi, że go nie odstąpi, nie zdradzi, że prawdziwym jest i będzie mu na przyszłość przyjacielem. „Życzył — bym sobie tego, żeby go mógł znać kochany Papa". Dodaje: »a jestem pewien że z rozczuleniem — by pochwalił szlachetność serca. Zresztą do poezyi ma wielki — wielki talent — inny to człowiek od Odyńców, Gąsiorowskich etc... poecików warszawskich — nie kuje wierszy, nie stara się o nie, ale natchnienie samo do niego zawitać umie".

Takie dał świadectwo przyjacielowi Krasiński. — W zapiskach Reeve'a, po śmierci jego wydanych, wspomnienia o Krasińskim krótkie i określenie lakoniczne tych czasów, gdy sercem byli tak blizcy. „Najwięcej zbliżyłem się" mówi pod datą roku 1829 „do Zygmunta Krasińskiego, słynnego później jako Bezimienny poeta. Byliśmy obydwaj w poetycznym wieku, zamiłowani w pisaniu i entuzyaści we wszystkiem".

...Z korespondencyi dwóch przyjaciół odsłania się jak wzajemnie na siebie działały obydwa niepospolite umysły młodzieńcze. Krasiński, tak własne swe ododczuwał w Reevie myśli, że w jednym z listów swych powiedział przyjacielowi te słowa: „Darzymy się wzajem życiem i miłością. Gdyś ty był w spokoju, mówiłem ci: żyj — a gdy jam osłabiony, dawna ma energia, w tobie rozwinięta, powraca ku mnie. Henryku — to się nazywa przyjaźnią" (20-go listopada 1832 roku, Petersburg). Korespondencya rozpoczyna się w roku 1830 — kończy się w 1838, w przededniu nowego dla Krasińskiego okresu. W roku tym powracał do kraju z rozpaczą zerwanej pierwszej miłości płomiennej.

...Zygmunt pisał w Genewie bardzo wiele po polsku i po francusku. Przeciwnie do utworów polskich, będących dalszym ciągiem Walterskottowskiego naśladownictwa, francuskie rzeczy mają odmienną już cechę. Wśród tych urywków niema prawie powieściowej treści, a myśl raczej szuka nastroju w duszy, état d'âme, jakby to nazwali francuzi, lub dyssertacyi, żądna sprawy ludzkie poznawać. Tłomaczy się ta dążność tem, że francuskie kompozycye pisał przeważnie, jako zadania dla profesora Roger, a jeszcze raczej chęcią dysputowania o treści z przyjacielem. Te tłomaczenia nie wyczerpują jednak rzeczy: Pisał tak, bo tak myślał, a przedewszystkiem rozprawiać chciał sam ze sobą. — W polskich utworach wysługuje się myśli, która mu coraz bardziej przeszłością się stawa, we francuskich tworzy teraźniejszość, poznając, że nie oczami, ale jakąś wewnętrzną mocą duszy patrzeć umie. Pisze więc fantazye psychologiczne, jak spowiedź Napoleona, lub sen młodzieńca znużonego życiem. — W pierwszym zaraz liście do przyjaciela mówi o tej dziwnej kartce, napisanej wczoraj, a którą przeczytał na lekcyi pan Roger.

Wyobraża sobie udręczenie i skargę człowieka, mającego w swej duszy karby, a lęk przed własnem słowem. Niemożność wypowiedzenia uczuć — oto cierpienie zabójcze, od którego ginie poeta młody, ziemskiej nie zaznawszy sławy. Nie poznała go kochanka, wieńców mu nie rzucono, za kraj swój bić się nie potrafił i poległ bezimienny. Dług spłacił sobie jedynie, piękność swą własnej samotnej duszy wypowiedział, ale teraz słyszy go Bóg na niebie. Nie był — mówi Krasiński, wielkim człowiekiem, ale duszą był wielką — i dodaje — lubię wyobrażać go sobie, jak teraz pije z czary nieśmiertelności. Co o tem myślisz, — zapytuje Reeve'a, — proszę cię o zdanie.

Reeve odpisał i w odpowiedzi odkrył na czole Krasińskiego nieśmiertelność. W liście bowiem nastę-

pnym tak mu Zygmunt o tem mówi: — „Dziękuję Ci za zaszczyt, jaki mi czynisz, spostrzegając na mojem czole obietnicę nieśmierlelności. Z tej przepowiedni drwię sobie, przeciwstawiając jej stan osłabienia i choroby i „dyabelne obrzydzenie życia“.

..... Krasiński przejrzał własną słabość, a zarazem przeczuł swą siłę. To, co w duszy żądnej sławy żyje, a nie może, nie potrafi objawić się w pełni światła, to prawdą jego było. Czyż to nie przepowiednia walki ze słowem, zapowiedź borykania się myśli z wysłowieniem, trudu niesłychanego, by myśl uczynić poezyą. Prawdę odkrył w sobie i sprobował ją wypowiedzieć. Wypowiedział nieudolnie, ale jej nie zapomni. W dwa lata później w Petersburgu, w milczeniu smutnej ciszy, pozna ją całkiem, zgłębi i wyrazi filozoficznie w pięknym liście o ułomności słowa. „Język ludzki wobec duszy, jako rachunki matematyczne wobec gwiazd biegu, prawdą konwencyonalną, dobrą i użyteczną, ale ileż pozostaje ułamków!... Język wszystko do czasu i przestrzeni sprowadza — obraz, posąd, słowo, znak, to wszystko jednem i tem samem — chwilą życia uchwycona w przelocie i natychmiast skazaną na nieruchomość, na śmierć... Człowiek się jedynie nieżywemi rzeczami wyrażać może. Tedy każde zdanie jest fałszem, skoro ma wyrażać życie, a samo trupem jest jedynie“. (1-go marca 1833, Petersburg).

..... Jadąc przez Medyolan i Florencyę do Rzymu, Krasiński nie patrzy, nie umie patrzeć na piękność żywą ziemi. Nie zastanawiają go też pomniki i dzieła sztuki! O Wenus Medycyjskiej młody chłopiec, zadumany w swą żałość, ledwie że w kilku wspomni słowach, i tem się cieszy jedynie, że na kształtach marmuru przez chwilę wypoczywa. W Rzymie wspaniałości kościołów nie opanowały mu duszy. Z całego Rzymu pomników i chrześciańskiej chwały, jedno Kolizeum przemówiło mu do wyobraźni. Wrażenie przecież, jakie przejęło mu duszę, potężnem i arcypotężnem było, tak wielkiem, że na całe życie pozostało, i że się na nie powoływać będzie odtąd, ilekroć o swem mówi chrześciaństwie.

Krzyż, który przezwyciężył świetności pogańskie i cień rzuca na arenę, jak błogosławieństwo na tę ziemię, krwią męczeńską sytą, krzyż ten drewniany, prosty, miał w sobie piękność myśli, nieskończenie więcej promiennej, niż była piękność obrazowa i barwna ruin, poszarpanych przez wieki. Tę piękność symboliczną Krasiński w pełni pojmował i czuł tak subtelnie, jak malarz czuje akordy barw w obrazie, i dlatego, wpatrzony w zwaliska i w krzyż zwycięzki, cały oddany wrażeniu, przejął do duszy myśl, która rodzicielką będzie Irydiona.

W listach do ojca i do Reeve'a podobnemi słowy mówi o krzyżu, jak mu się objawi w noc świetlaną i cichą: „Kto nie wierzy w Chrystusa, niech idzie do Kolizeumu w noc pogodną, a jeżeli nie padnie na kolana przed symbolem wiary, ten, mówię z góry, nie ma ni serca, ni duszy, i mniej, niż człowiekiem jest, jako duch, pochodzący od Boga, a więcej, niż człowiekiem, jako duch złego“. (9-go grudnia 1830 roku, Rzym). A oto, co pisze do ojca: „Ten krzyż, temu tysiąc lat, taki sam, jak dziś, deptanym był w tych miejscach — za niego rzucano tygrysom i lwom chrześciańskie dziewice. Wtenczas Kolizeum stało wielkie, pyszne, w niem lud najpotężniejszy świata przychodził patrzeć się na to, co mu najwięcej wrażenia i radości sprawiało, a co teraz rozsypuje się w gruzy i upada. A krzyż się nie odmienił — z drewna, jak wtenczas, a jednak stoi pośrodku budowy, stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzono... Powtarzam, ten jeden krzyż wart dla mnie wszystkich kościołów — godło w nim niezaprzeczone zwycięstwa życia nowego nad starem; stare wokoło niego w proch leci i gnije pomiędzy bluszczem — on jeden nieśmiertelny, prosty i boski“ (list z 5-go grudnia 1830 roku).

... Gdy czytamy listy do Reeve'a z Rzymu, uderza nas dziwna dojrzałość w zapatrywaniu na twórczość poetycką. Krasiński radzi przyjacielowi, by jak najprędzej ogłaszał swoje utwory, gdyż, dobre i piękne dzieło, które na czas swój nie przypadnie, przestaje być dobrem i pięknem“. Zachęca go do wytrwałości, i jak ostrogą spina, by się lenistwu nie poddawał, ale pisał i pracował, wciąż obserwując ludzi wokoło siebie, a siebie w duszy własnej. „Całą siłą — pisze — złącz się z religią chrześciańską, gdyż dziś to droga, na której będziesz nowym i oryginalnym, a potem kto z Bogiem, Bóg z nim. Wątpienia i tajemniczość miały Byrona, a na tej drodze iść za nim — to szaleństwo, gdyż nikt mu nie dorówna“. Dziś poeta innych ma szukać wzorów. Krasiński wskazuje Reeve'owi Szekspira, który z siłą i wyrazem niezmiernym przedstawia prawdę życia, i Calderona — poetę nadziei. „Zaklinam cię, — woła do przyjaciela — czytaj Schlegla!“

Zrozumienie, że naśladował Byrona, przyszło Krasińskiemu później, gdy przejrzał i poznał się w całej prawdzie swojej, a zarazem przeniknął prawdę myśli ludzkiej. Wówczas napisał do Reeve'a: „Bądź rozmaitym, jako stworzenie, które cię otacza, a jednym, jakim sam jesteś. Byron był upiorem długiej i burzliwej nocy, strasznej, jak długo trwają ciemności, a zapomnianym, gdy zorza powstaje. W promieniach słońca trzeba nam szukać i odkrywać; kto naśladować będzie Byrona, marnym będzie. A z ręką na sercu, czyśmy co innego robili kiedykolwiek, jak naśladowali Byrona“ (list bez daty, otrzymany w Londynie 10 cerwca 1834 roku).

... Gdy tak, szukając harmonii w sobie i objawienia drogi ducha, ogląda pamiątki rzymskie, z gazet i listów Krasiński dowiaduje się o listopadowych wypadkach.

... Wiadomości pism zagranicznych przemawiają za rewolucyą. Wśród wiadomości tych jedna wprost do niego stosować się zdaje. Artykuł angielskiego „Galignani Messenger“ mówi o tych młodych Polakach, którzy nie spieszą się nad Wisłę, podczas, gdy tam ziomkowie walczą, ale za granicą trawią czas na zabawie. Artykuł ten Reeve przeczytał l przyjacielowi donosi, a przez to jakby przesyła wezwanie, by Krasiński swoją czynił powinność. Zygmunt miotany burzą sprzecznych uczuć, rozpaczać poczyna o sobie:

.., Dwa listy do Reeve'a, pisane pod wrażeniem pierwszej wieści o powstaniu — obydwa po angielsku brzmią okropną melancholią. Powtarza i zaklina wielokrotnie, że spieszyć do domu powinien.

... Syn w innem świetle niż ojciec ocenił wypadki... Zdecydowany (wejść w szeregi narodowe) nie

waha się wyznać postanowienia Jakubowskiemu, nie chce przedewszystkiem postąpić przeciw prawdzie. Jakubowski, który znał wolę generała, zamyka mu drogę, uprzedzając policyę genewską i zabierając środki pieniężne.

A wtenczas, jak przedtem miłość synowska powstrzymała od czynu, powstrzymuje teraz brak zaufania do siebie. Zamiast korzystać z pierwszej nadarzającej się sposobności, przeraża się trudnościami, które zdają mu się piętrzyć nie do zwalczenia i wreszcie własnej ulega wyobraźni. Z listów do przyjaciela widzimy, że Reeve mu wszystko przygotowywać pragnął i dawał, i obmyślił środki praktycznie, a śmiało. Z jasną decyzyą młodego Anglika, dziwi się, czemu Zygmunt rozpacza, zwleka, a nie działa. — Krasiński w Genewie pozostał.

... Dni i nocy upływają mu na ciągłej katuszy i gorączkowej ciągłej twórczości. Odcięty od wszystkich zdarzeń w kraju, przejmuje się niemi w myśli zapatrzonej i żyje coraz mniej z otaczającą go rzeczywistością, a coraz więcej z sobą. Do Reeve'a pisze Krasiński, wynurzając każdą boleść, skarży się, jęczy, woła, smutki swe przed Reeve'em objawia, a zarazem jak rzeźbiarz z gliny, z cierpień swych kształty dobywa, wzbudza poemata i, niepowstrzymany, nieskrępowany, niezawisły, stwarza swe życie duchowe, stwarza swoją poezyę.

... Pełen rozpaczliwych sądów o sobie, poczyna w pierwszych listach do przyjaciela nastrój swój malować i posyła z tej skargi, którą pisać pożąda, urywki tłomaczone dla Reeve'a. W uniesieniu i gorączce chwyta za pióro, gdyż inaczej czynić nie może. „Piszę“ — mówi o sobie — bo muszę pisać. *Jean not choose write* — jak powiada Coleridge. Cóż bowiem jest istotą poety, jeżeli nie ten nadmiar myśli, który, jak potok, z duszy wytryska i szumi, aż sobia ujścia nie znajdzie. Wszystko jedno poecie, czy ujście to prowadzi do uszu ludzkich, czy też do nicości, byleby on pozbył się ognia, który go pali i ani mu odetchnąć nie pozwoli na chwilę“. (List z 13 lipca 1831, Genewa).

A w późniejszej dobie, skoro poznał swą siłę twórczą i powołanie, tak pisał Krasiński z doskonałem poczuciem o sztuce: „Widzisz sztuka jest prawda prawdy jedynie — uczuciem uczucia — ale nie samem uczuciem. Niewypowiedziane są rozkosze artysty, ale też więcej niż komukolwiek w tym świecie cierpieć mu przeznaczono. A zaprawdę jego miłość własna wspaniałą — aleć to zawsze miłość własna tylko. I cóż pocznie, gdy stanie wobec położenia, w którem, by szczęśliwym być, nie trzeba być sobą. Piekło się jego tu zaczyna. Nie będzie nigdy wiedział, czem naprawdę miłość kobiety, gdyż sam jest dla siebie wszystkiem. On wszystko tworzy, światło, posąg, wiersz, kochankę. Kocha swe arcydzieła, ale niczego więcej nie kocha. Dlatego rzeczywistość jest mu trucizną, dlatego nigdzie spełnienia życzeń, nigdzie marzeń kresu nie znajdzie, wszystko, co nim nie jest, trapi go i brzydzi. Jak Kain z potępieniem na czole żyje wśród ludzi. A przecie kocha z szaleństwem, pragnie dobra. Chciał szczęścia świata, choć świat go na każdym kroku odpycha. Lecz skoro sam jest ze sobą, jest szczęśliwym i silnym, jest jak pół-bóg. Oto dla czego wielki artysta nigdy nie jest ni mężem dobrym, ni ojcem. To okropne“. (List z 4-go kwietnia 1833 Warszawa).

... Utworem pełnym chaosu i niesłychanej przesady był „Adam Szaleniec“. Jak wygląda całość, której nie posiadamy, sądzić można jedynie z urywków, przesyłanych Reeve'owi, robiących wrażenie raczej majaczeń rzeczywistego szaleńca, niż utworu, który ma jedno prawdziwe wypowiedzieć uczucia. Mówi to zresztą Krasiński, że swe uczucia egzaltował do szaleństwa. „Zrozumiesz potem“ — pisze do przyjaciela „że mój Adam nie jest mną, mną i znowu mną. Moje ja było punktem wyjścia, alem rzeczywistość posunął do krańców ostatecznych“. (23 czerwca 1831, Genewa).

... „Wiesz, jakie są godziny, w których mogę powiedzieć, że żyję jeszcze“ — pisze do Reeve'a w liście z 21 czerwca 1831 — „oto, gdy sam w mym pokoju piszę mój romans, albo jak tam chcesz to nazwać — gdy opisuję szaleństwo człowieka, który mnie ma przedstawiać, gdy próbuję przypomnieć sobie wszystkie uczucia, wszystkie troski moje, wszystkie krople goryczy rozlane, aby z nich zebrać czarę pełną, którą przedstawię może kiedyś ludziom, mówiąc im: — „oto co ziemia i mieszkańcy jej mi dali“. — Niema w „Adamie Szaleńcu“ wyznania prostych i silnych uczuć, żadnej świeżości myśli, ale i tem mniej żadnej poezyi, która myśl rozwidnioną, wypracowaną, objawia uczuciem wspaniałem. „Myśl“ — mówi Krasiński w liście, który oznajmił Reeve'owi o napisaniu Nieboskiej — „myśl, sądzę, jest pośrodkiem między pierwotnem uczuciem końcowem pełnem jasności — myśl jest wypracowaniem — analizą — pracą, której początek w uczuciu, a cel znowu uczuciem.

„Najwyższą doskonałością uczuć, co się wpół zrozumiało, czytać odważnie po sylabizowaniu, grać z pamięci, co się nuta po nucie na instrumencie poznało, to jest pod formą natchnienia ogłosić ludziom, co się przez lata w czoła pocie zebrało“ (List z 19 grudnia 1831, Genewa).

... Przychodzą pierwsze widzenia „Nieboskiej“. Jeżeli krzyż na Kolizeum wrażeniem został od początku płodnem, w listach, w Adamie Szaleńcu“ żywem i zapowiedź Irydiona niosącem; pomysły do „Nieboskiej“ rodzą się i burzą z listopadowego powstania, a w dyskusyi z przyjacielem w myśli obydwóch młodzieńców, zwróconej ku społecznym żądzom i przeciwieństwom, stają się coraz to życiem pełniejsze, coraz to bardziej wyraziste i silne.

... Krasiński powiedział sobie, że ludzkości powołaniem jest walka niewyczerpana ze złem, walka z losem a zwycięstwo na Bożej a nie na naszej szali.

... Los, to w pojęciu jego, to co byśmy dziś nazwali wpływem środowiska, gdzie wszystko złe i dobre z ludzkiej zrodzone woli krzyżuje się i gmatwa, to atmosfera moralna otaczająca człowieka. Walczyć z tą siłą ślepą, upaść w starciu nieraz z konieczn o ścią, ale nad losem wysoko wznosi się prawo Boże' Opatrzność, która ostateczne zwycięstwo daje sprawie pr awdy i miłości.

... Nie pojmuje zrazu tej tezy Reeve, „Zimna to rzecz los“ — pisze przyjacielowi — „dla tych, którym trzeba rozgrzać duszę i wytężyć energię, a potem los ten w niezgodzie z energią. Słabością jest on raczej, a siłą Opatrzność“ (21 września 1831).

...Długim listem Zygmunt przyjacielowi odpisał: ,Mówiłem — broni się — że każdy poemat à la Child Harold, musi przedstawiać walkę człowieka z losem, ponad którym stoi Opatrzność. Przez słowo los rozumiem wolę ludzi, — mnóstwo tych woli zwróconych przeciw mnie, przeciw jednemu, gdyż skoro Bóg dał wolną wolę duszy ludzkiej, to wola potęga jest, i potęga twórcza, zaczem wole liczne mogą stworzyć los jednostce, a los ten, stworzony tak, zawsze, bezwiednie, lub zwykle przynajmniej, twardym, okrutnym, nieubłaganym jest. To są okoliczności życia, to są wszelkie warunki, towarzyszące twoim punktom zetknięcia się z ludźmi, to wreszcie wszystko, co z ludzi ku sobie promienieje" (29 września 1831 roku, Genewa).

...Reeve poczyna sądzić dzieje z rosnącem zajęciem. Walka przeciw arystokracyi, broniącej dawnego porządku i przeciwnej uparcie uchwaleniu billu Reformy, wyrodzi się, tak Reeve przewiduje — w rewolucye, w okropność strasznego odwetu, w którym żywioły ludowe, jak arkan zniszczą, co było dawną chwałą i świetnością ojczyzny. Czy stanąć w tej walce, czy widzem pozostać, a jeżeli stanąć, po czyjej stronie? Młody Anglik waży się niepewny. Wówczas przyjaciel gorącem przemawia wezwaniem.

Dwudziestoletni zaledwie młodzieniec daje o rok młodszemu przyjacielowi tak dziwnie jasną dyagnozę i radę: „Jesteś pomiędzy węglem i rudą, a kochasz Mont-Blanc — masz miłość w sobie, a nie zdołałeś mieć ukochanej — kochaj, Henryku, gdyż za mało ś dla swej duszy kochał, i nie pozostań neutralnym w wielkiej walce, jeżeli walka będzie. Pomnij na prawo Solona, które skazywało na śmierć obojętnych. Rzuć się w ramienia arystokracyi, lub ludu" (list z 20-go października 1831 roku. Gen.)

...Przedewszystkiem niechaj przyjaciel zerwie z ideałem spokoju i szczęścia. Spokój wiedzie do upadku, a szczęścia nie masz na tej ziemi. Myśleć o niem, jako o celu, dziecinną jest igraszką. „I ja też — spowiada się — marzeniu temu wierzyłem, ale dziękuję Bogu, żem dosyć szybko i wcześnie je porzucił. — Jedynym celem, ku któremu warto siły ducha wytężyć, to wielkość, to jaka bądź wyższość". Krasiński wierzy, że walka z losem przynieść może chwile szlachetne i promienne, chwile miłości i szału, radości i szczęścia. Hrabia Henryk ma wiarę tę samą. Pragnienia jego pogańskie i potężne, gdyż nie powiada: święć się Imię Twoje, ale moje bądź imię wielkiem. Nie dla siebie atoli pragnie wielkości uświęconej, nie pragnie jej imieniu swemu lecz gardząc sobą, pożąda tego szczęścia dla przyjaciela. Wywyższyć chciał — by i wynieść Reev'ea, zaklina go nieustannie, by się zerwał do czynu, by skrzydła do lotu rozwinął, gdyż chce, całą mocą duszy pożąda, aby przyjaciel „człowiekiem był i poetą" (20 października, 1831 roku, Genewa).

(Dok. nastąpi).

MARGRABIA WIELOPOLSKI I PRASA.

Margrabia Wielopolski, który dokładał wszelkich starań, aby stworzony przez siebie *Dziennik Powszechny* bogactwem treści, szybkością podawanych wiadomości i rozumowanemi artykułami politycznemi podnieść — nie wahał się w środkach, aby dwa wówczas istniejące w Warszawie pisma polityczne, t. j. *Gazetę Warszawską* i *Gazetę Polską*,, obniżyć. Piszący te słowa, był wówczas młodzieńcem, ale pamięta dokładnie, iż w miesiącach letnich 1862 r. cenzura z polecenia margrabiego Wielopolskiego stanowczo zakazała *Gazecie Warszawskiej* artykułów wstępnych, traktujących politykę zagraniczną, bo owe artykuły, znakomicie przez ś. p. Józefa Keniga pisane, o wiele przewyższały takież artykuły w *Dzienniku Powszechnym*. Kiedy zaś zmieniliśmy tekst pisma (z cicera na garmont) i daliśmy rozumowanym artykułom politycznym tytuł „Ostatnie Wiadomości", margrabia spostrzegł to obejście jego rozporządzeń i kazał pod każdym artykułem politycznym podpisywać codzień jako źródło trzy pisma: *Schlesische Zeitung*, *Times* i *Indépendance Belge*, chociaż wiadomości nie były wcale z tych gazet czerpane; podpis ten jednak nadawał artykułom politycznym cechę zwykłych tłomaczeń i o to właśnie margrabiemu chodziło.

Tyle co do rubryki wiadomości politycznych; a teraz kilka objaśnień o artykułach, traktujących sprawy wewnętrzne.

Dla wzbogacenia treści *Dziennika Powszechnego*, margrabia polecił dziś już nieżyjącemu, młodemu naówczas referendarzowi b. rady stanu, Józefowi Świeszewskiemu, aby łącznie z urzędnikami archiwów: komisyi skarbu, Sobotowskim, kancelaryi namiestnika, Michałem Jasińskim, i referentem komisyi sprawiedliwości, Kuczewskim (wszyscy już dziś nie żyją) — wyszukiwał materyały, któreby można spożytkować jako artykuły do *Dziennika Powszechnego*. W komisyi skarbu znalazły się istotnie skarby prawdziwe, a to dzięki temu, iż wówczas już nieżyjący dyrektor główny komisyi rządowej przychodów i skarbu, r. t. Morawski, tych urzędników chętniej awansował, którzy w danej materyi opracowywali referaty obszerne, rzucające światło na anteriora danych kwestyj. W aktach zwłaszcza z ówczesnych wydziałów: dochodów niestałych i zarządu dóbr rządowych, znalazły się materyały bardzo bogate, które z małem obrobieniem dziennikarskiem, co robił wspomniany powyżej Józef Świeszewski, szły na szpalty *Dziennika Powszechnego*.

Że jednak w r. 1862 artykuły sprawom krajowym poświęcone znikły ze szpalt *Gazety Polskiej* i *Gazety Warszawskiej* — temu nie były winne redakcye.

Faktem jest, że prasa ówczesna nie chciała bezwzględnie popierać polityki wewnętrznej margrabiego i ten ją za to prześladował.

Żyliśmy wówczas w warunkach ciężkich, bardzo ciężkich. Po zamachu Jaroszyńskiego na ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego, Wielkiego Księcia Konstantego Mikołajewicza, J. I. Kraszewski chciał wystąpić w redagowanej przez siebie *Gazecie Polskiej* z artykułem potępiającym zamach; lecz artykuł ten cenzura z rozkazu margrabiego wstrzymała. Ówczesny dyrektor komisyi oświecenia, Krzywicki, w r. 1862 wystąpił z projektem dosyć liberalnego prawa prasowego; margrabia kazał ów projekt schować do archiwum.

Wreszcie w *Dzienniku Powszechnym*, z dnia 12-go września 1862 roku, ukazał się artykuł, w którym powiedziano, że „przed niedawnym czasem dzienniki warszawskie głośno i usilnie się domagały pozwolenia pisania o sprawach wewnętrznych kraju, jego administracyi, potrzebach i t. d., i utrzymywały, że czytelników wcale nie zadawalają chociażby obszerne rozprawy polityczne, skoro pole najżywotniejszych prac, około dobra własnego kraju przedsiębranych, jest dla nich zamknięte". Zaznaczywszy to żądanie, z hypokryzyą zaprawioną szyderstwem i urąganiem, autor owego artykułu twierdził, iż dla zadośćuczynienia tym żądaniom, a „nawet dla dania potrzebnej ku temu inicyatywy", założony został *Dziennik Powszechny*, w którym zaczęto ogłaszać artykuły i rozprawy o przedmiotach i najważniejszych kwestyach, dotyczących wewnętrznego zarządu kraju. Zachęcone tem wezwaniem, zaczęły pisma warszawskie dawać artykuły, poświęcone sprawom krajowym, ale z rozkazu margrabiego cenzura ówczesna tak je mazała, iż trzeba było ich zaniechać; że zaś nie chcieliśmy żywcem przedrukowywać artykułów z *Dziennika Powszechnego* — powróciliśmy do artykułów poświęconych polityce zagranicznej, w których, jak wspomniałem powyżej, byliśmy również bardzo skrępowani.

Historyk owych niewesołych czasów dla prasy warszawskiej, słusznie napisał: „...Dzienniki warszawskie wówczas milczały, gdy nawet postępowanie margrabiego uznawały za dobre i zbawienne dla kraju. Tym więc sposobem margrabia przez swe zachowanie arbitralne i drażniące, przez zakazy gwałcące najprostsze zasady sprawiedliwości, przez dodawanie do tych zakazów gryzącej ironii, przez nieszlachetne deptanie skrępowanej prasy warszawskiej, stworzył z niej sobie najzaciętszego wroga, kiedy mógł mieć przyjaciela — i to mu historya na szali win jego musi policzyć".

Na zakończenie niniejszego artykułu, przytoczę fakt, który najlepiej udowodni, jak mąż stanu takiej miary, jak margrabia Wielopolski, był zacięty i jak niesprawiedliwy względem prasy warszawskiej, nawet wtedy kiedy J. I. Kraszewskiemu kazał zagranicę wyjechać, aby *Gazetę Polską* do upadku doprowadzić i kiedy *Gazeta Warszawska* zaczęła się nakłaniać ku kierunkowi, jakiego on pragnął.

Otóż ówczesnemu cenzorowi *Gazety Warszawskiej* Funkensteinowi margrabia dał rozporządzenie, aby w odbitkach tego pisma posyłanych do cenzury wymazywał codziennie po 500 wierszy. Przez kilka dni nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego nam cenzor wymazuje taką masę materyału, zupełnie cenzuralnego. Wówczas ś. p. mój ojciec Ludwik Lesznowski, wydawca *Gazety Warszawskiej*, poszedł do Funkensteina żądając objaśnień, a gdy się dowiedział o rozporządzeniu margrabiego, uprosił go, aby udał się do margrabiego i przedstawił mu, jaka przez to dzieje się nam krzywda.

Funkenstein dał się na ten krok śmiały namówić i aczkolwiek niechętnie, udał się do margrabiego, który wówczas mieszkał w pałacu Brühlowskim.

Wprowadzony do margrabiego, zaczął się wstawiać za *Gazetą Warszawską* i objaśniał, iż maże rzeczy zupełnie niewinne; margrabia wysłuchawszy Funkensteina odezwał się do niego w te słowa:

— Panie Funkenstein, czy pan jesteś urzędnikiem? Jeżeli tak, to proszę mazać codziennie po 500 wierszy i uprzedzam, iż niewolno panu mazać 498 lub 502 wierszy, lecz tylko tyle, ile kazałem.

Powiedziawszy te słowa, skinął głową, dawszy tym sposobem znać Funkensteinowi, iż nie ma nic więcej do powiedzenia, ani też mu więcej nie pozwala mówić.

Oto mały obrazek czasów, jakie przeżyła w r. 1862 prasa warszawska.

Stanisław Lesznowski.

(Gaz. Warsz.)

O TOŁSTOJA.

W *Gazecie Warszawskiej* (nr. 72) pomieszczono następującą notatkę:

Dużo się teraz u nas mówi i pisze o głośnym pisarzu rosyjskim Lwie Tołstoju, który gdzieś ze wsi, z głębi Rosyi, ma przywilej wstrząsania umysłami nietylko swoich współrodaków, ale i cudzoziemców. We Francyi, w Niemczech stał się on modnym pisarzem, a u nas ma tak licznych, zwłaszcza wśród młodszych pokoleń, zwolenników, że znalazł się nawet Polak, dziennikarz czy niedziennikarz, nie wiemy dobrze, który interwiewował starca i wprawdzie nic nowego, ani też mądrego odeń nie słyszał, ale krokiem tym zadokumentował na zawsze, jak dalece młodzież nasza interesuje się Tołstojem i jego doktryną.

Otóż nie możemy w żaden sposób zrozumieć tego osobliwszego zainteresowania się Tołstojem, a zarazem chcielibyśmy ostrzedz naszą młodzież i naszych tłómaczy, przed zgubnym i rozkładowym jadem, jaki z pism

tego autora w umysły się sączy. I zainteresowania tego nie usprawiedliwia ani ponętna forma literacka produkcyj Tołstoja, czar stylu lub siła i potęga słowa, gdyż pisarz ten właściwie nie ma żadnego stylu, opowiadanie u niego toczy się jak gawędka starych kumoszek, które zeszły się popołudniu na kawę, robotę pończochy i obmawianie bliźnich. Tok tej opowieści jest zawsze leniwy, zawsze nudny, zawsze pospolity pod względem formy, pełen dygresyi i odstępowania od rzeczy. Nie wylewa mu się z pod pióra opowiadanie niby potok rwący, ale znać na każdym kroku mozolne wznoszenie gmachu powieściowego, ciężki poród zgniłego w zarodku płodu. Wskutek tego poświęca całe stronnice drobiazgom codziennego życia, które fabuły powieściowej nie posuwają naprzód, ani też nie ilustrują bronionej przez autora doktryny. W ostatniej powieści *Odrodzenie* spotykamy kilkanaście stronnic poświęconych takim banalnym rzeczom, jak wstawanie rano z łóżka, mycie się i czesanie. Autor, jak gdyby mu wątku zabrakło, opowiada jak główny bohater powieści obudził się, jak ziewał, jak się przeciągał, jak wstał, jak się mył, obcierał ręcznikiem, czesał, czyścił paznogcie i ubierał. Wszystko jest szczegółowo opowiedziane i oczywiście śmiertelnie nudne.

Ale mniejsza byłoby o formę literacką, gdyby w tej zaniedbanej formie, mieściła się treść naprawdę interesująca, nowa, lub podnosząca duszę i serce czytelnika. Niestety! tak nie jest. Tojstoj jest doktrynerem na wielką skalę, fanatykiem swej doktryny, a nadewszystko chorobliwym mistykiem. Mistycyzm ten ma swoją oryginalną, odrębną cechę, której nie spotykamy w najbardziej mistycznych pisarzach Zachodu i stąd to zapewne pochodzi, że ta na wskroś odrębna cecha uderza umysły naszej młodzieży i budzi w niej uwielbienie dla pisarza. Mistycyzm ten jednak robi wrażenie, jakby urodził się w głowie wcześnie postarzałego młodzieńca, który przeżyć zdołał przez dwadzieścia lat to, czego inni przez sześćdziesiąt nie przeżyją, stał się cynikiem, lubi rozprawiać o wszystkiem głośno i w końcu wytwarza sobie niby oryginalną, a w gruncie rzeczy nadzwyczaj cyniczną, odartą z wszelkich iluzyj, bezczelnie ordynaryjną i prostacką teoryę życia.

Taką wydaje nam się doktryna Tołstoja. Jak wszyscy młodzieńcy wcześnie przeżyci i cyniczni, lubi on rozprawiać o fizycznym stosunku mężczyzny do kobiety, a rozprawiać w sposób brutalny i niby pozornie poważny, w gruncie jednak rzeczy wszeteczny i lubujący się w rozpustnych i lubieżnych obrazach. Cała osławiona *Sonata Kreuzerowska*, jest niczem więcej, jak obliczonem na pociągnięcie niedojrzałych młodzieniaszków i pensyonarek do odczytywania brzydkiej, niemądrej i rozpustnej książki. Niczego bowiem w niej nie uczy i niczego nie dowodzi. Oddawna wiemy, że na świecie większość małżeństw jest nieszczęśliwą, ale lekarstwo, jakie podaje Tołstoj, byłoby o wiele zgubniejszem od tego życia, zapewne strasznego, jakie pędzi ze sobą niedobrana para. W *Odrodzeniu* także są sceny rozpustne, w których malowaniu lubuje się ten pisarz wysoce charakterystyczny i będący niejako typem swego otoczenia. W strasznym dramacie *Władza ciemności*, niewątpliwie z siłą narysowanym, wszystko kręci się koło uścisków dwóch płci, wszystko koło rozpusty.

To jest podług nas charakterystyczna i główna cecha Tołstoja. Zachwycać się nim, zdaniem naszem, nie można.

Notacie tej dał odpowiedź Bolesław Prus *(Kuryer codzienny nr. 79)*:

Nie wiem, pisze Prus, jakie są „doktryny“ Tołstoja, na czem polega jego „fanatyzm“ i mistycyzm“; do zaczepiania tych stron jego działalności nie posiadam ani prawa, ani ochoty. Ale coś niecoś wiem: jakim Tołstoj jest powieściopisarzem i jak zapatruje się na tę swoją specyalność

„Sztuka — mówi Tołstoj — nie jest przyjemnością, pociechą, lub zabawą; sztuka jest rzeczą wielką...“ „Prawdziwa sztuka, przy pomocy nauki, kierowana religią, powinna zdziałać to, ażeby zgodne współżycie ludzi, które teraz przestrzeganem jest, przez środki zewnętrzne — sądy, policyę, zakłady dobroczynne, inspekcye robotnicze itd. — osiąganem było w drodze swobodnej i zadowolonej czynności ludzkiej. Sztuka powinna usunąć gwałt“.

„Sztuka może wywołać cześć dla wartości każdego człowieka, dla życia każdego zwierzęcia, może wywołać wstyd wobec zbytku, wobec gwałtu, wobec zemsty, wobec korzystania dla przyjemności własnej z przedmiotów koniecznych innym ludziom. Może skłonić ludzi, aby z dobrej woli i radośnie, sami nie spostrzegając tego, poświęcali się na usługi ludzkości“.

„Sztuka powinna zdziałać to, aby uczucia braterstwa i miłości ku bliźnim, teraz dostępne jedynie ludziom lepszym w społeczeństwie, stały się uczuciami zwykłemi, instynktem wszystkich ludzi“... „Zadaniem sztuki chrześciańskiej jest urzeczywistnić braterskie zjednoczenie wszystkich ludzi“. (Hr. L. N. Tołstoj: „Co to jest sztuka?“ wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego“).

Czy nadzieje, jakie Tołstoj pokłada w sztuce, spełnią się kiedy? to nie należy do rzeczy. Proszę mi jednak pokazać: ilu powieściopisarzy w tak szlachetny, w tak wzniosły sposób pojmują swoje rolę wobec społeczeństwa? którzy z nich nietylko głoszą, ale i działają w myśl zasady, że — „sztuka nie jest przyjemnością czy zabawą, lecz środkiem do braterskiego zjednoczenia ludzi?“...

Styl Tołstoja nie jest — „leniwy, nudny, pospolity ani kumoszkowski“, ale jest prosty. Autor nie posługuje się nim (jak np. dekadenci) do drażnienia, łaskotania, narkotyzowania czytelników, ale — do wzbudzenia w nich pojęć i uczuć, za pomocą — najmniejszej liczby najlepiej znanych wyrazów. Jest to styl mędrca i mężczyzny, nie zaś — jakiejś ultrapłciowej psychopatyi, z jaką niekiedy spotykamy się w literaturach. A gdy w *Odrodzeniu* poświęca Tołstoj nieco więcej miejsca temu: „jak bohater obudził się, jak ziewał, jak się mył, jak obcierał się ręcznikiem“, robi to, nie przez gadulstwo, ale dla wykazania pustki i nicości wielkoświatowego życia.

Wogóle opisy i charakterystyki Tołstoja są znakomite: celują zwięzłością i realizmem.

Co się wreszcie tyczy *Sonaty Kreutzerowskiej*, zdaje mi się, że albo szanowny krytyk nie zrozumiał jej, albo przeczytał ją niedbale. Oto treść tej niezwykłej powieści:

Według Pisma świętego — mówi Tołstoj — mężczyzna stworzony jest do ciężkiej pracy, kobieta do macierzyństwa. I ta i tamten powinni surowo spełniać obowiązki, zachować powściągliwość nawet w ubiorze, rozrywkach i pokarmach, a wystrzegać się zmysłowości. Tymczasem pewien zamożny człowiek, Pozdnyszew, przepędzał czas na próżniactwie, ożenił się pod wpływem wyłącznie erotycznych pobudek i wziął kobietę, która chciała tylko bawić się i stroić.

Cóż się stało? Ponieważ erotyzm nie może ludziom zapełnić życia, więc między małżonków Pozdnyszewów zakradły się naprzód — nudy, potem — niechęć, a potem nienawiść i zazdrość, która z czasem w małżonku wkroczyła w granice obłąkania. Podejrzewając, że żona romansuje z pewnym skrzypkiem, z którym grywali Sonatę Kreutzerowską, szalony zazdrośnik zabił ją i poszedł do więzienia, lecz został przez przysięgłych uwolniony, jako mściciel honoru, którego mścić nie było powodu i — jako pół obłąkaniec...

Teraz stała się rzecz najokropniejsza: uwolniony przez sąd zaczął ponosić karę od własnego sumienia. Nieopuszczany ani na chwilę przez pamięć swojej zbrodni, Pozdnyszew za życia staje się potępieńcem tak nieszczęśliwym jak potępieńcy dantejscy, a tak wielkim, że postawić go można obok Roskolnikowa, bohatera powieści Dostojewskiego — „Zbrodnia i kara“.

Erotyzm — obłęd — zabójstwo i potępienie, oto pojedyncze akty dramatu nazywającego się „Sonąta Kreuzerowską“. Co tu jest „wszetecznego i lubieżnego“ — co ma „pociągać pensyonarki i niedojrzałych młodzieniaszków?...“ dalibóg nie wiem... Natomiast jestem przekonany, że ludzie, znający życie, nad niejedną kartką tej książki głęboko mogą się zamyślić.

Erotyzm w rzeczy samej jest matką najgorszych występków.

Jednem słowem, krytyk Tołstoja dopuścił się ciężkiej niesprawiedliwości: nietylko bowiem porobił wielkiemu pisarzowi zarzuty niesłuszne, ale — co gorsza — oskarżył go o grzechy, z któremi Tołstoj walczy jak najwyraźniej i najzacięciej!...

Jeżeli chodzi o „cynizm, rozpustę i lubieżność“ przykładów tego nie trzeba szukać w Tołstoju. Raczej — niestety — w naszej własnej literaturze, w której erotyzm zawsze bardzo wydatne zajmował stanowisko, a w ostatnich czasach dosięgnął prawie obłąkania. Bodajżebyśmy nie zapłacili za to spokojem i dobrą sławą całego narodu, którego warstwy inteligentne już dziś mają reputacyę zepsutych!...

Bolesław Prus.

Z WIECU W WITKOWIE

(w W. Księstwie Poznańskiem).

Mowa gospodarza Wojciecha Brzezińskiego z Jerzykowa.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Serdeczni bracia rodacy!

Zebraliśmy się tu jako synowie jednej nieszczęśliwej matki, aby jeden przed drugim jako bratem się użalić w naszej ciężkiej niedoli i wyłuszczyć co nam dolega i co nas boli.

Włosi podczas zarazy boso i z odkrytemi głowami odprawiali procesye, wołając: litości! litości! tak i my na wzór tamtych urządzamy zebrania bosi prawie i nadzy, bośmy z wszystkiego wyzuci i wołamy do Boga kornie ze łzami: cierpliwości nam Boże daj! a do rządu wołamy: sprawiedliwości i prawnej słuszności! *(Trzykrotne brawo)* Jak tamtych tak i nas Pan Bóg wysłuchuje, bo daje nam cierpliwości aż nadto, u rządu zaś dla sławnych berychtów nie możemy doznać sprawiedliwości, a na dobitkę wołają nasi najserdeczniejsi do rządu: ausrotten, ausrotten — wytępić, wytępić! *(Brawo!)*

Jesteśmy potulnymi, pokornymi, na wolą Bożą się zdającymi poddanymi, ale zdaje się, że ta nasza pokora nam tylko szkodzi, bo przeciwnicy nasi nie uważają nas za pokornych, ale za ciemnych i głupich, nie wiedzących, co nam się prawnie przynależy *(głosy: oho!)* i powiadają jeszcze szyderczo, że my bylibyśmy bardzo zadowoleni z ich ojcowskich rządów *(głosy: nie prawda! nieojcowskich!)* że nam tak dobrze u nich, jak u Pana Boga za piecem *(głosy: nie prawda!)*. Nie potrzebujemy się niczego obawiać, bo nie jesteśmy żadnemi przybłędami, pasibrzuchami, nie przyszliśmy tu z taczką, ni z płachtą, jesteśmy tu na swoich śmieciach, nikomuśmy nic nie zabrali, niceśmy nie winni, mamy sumienie czyste, ani też nie jesteśmy Nobilingami, ani Weilandami, na życie monarsze czyhającymi zbrodniarzami, *(burzliwe oklaski i brawa!)* dla tego nie bądźmy psami niememi, niech się cały świat dowie, jaka się nam krzywda dzieje. A dzieje się nam i dzieciom naszym krzywda niesłychana, bo nietylko, że nas chcą ogłodzić doczeŚnie, ale i wieczyście, bo nam chcą zabrać język, abyśmy zamilkli na zawsze, aby potomkowie nasi nie wiedzieli, z jakiego pochodzą rodu, dlatego wyrzucają język polski ze szkół i usuwają księży od nadzoru religii w szkołach.

W krajach czysto pogańskich uczą dzieci w ojczystym języku, w państwie zaś niemieckiem, które to chce uchodzić za najbardziej oświecony naród, odbywa się nauka z naszemi polskiemi dziećmi wręcz przeciwnie. *(Oklaski.)*

Matka polska uczy dziecko pacierza, słowem wszy-

stkiego, co dobremu polakowi i katolikowi potrzebne, po polsku; wie to każdy z kapką rozumu, a któremu piątej klepki nie brak, że inaczej być nie może, bo taka jest wola Boża, bo nie na to nas Pan Bóg stworzył Polakami, aby po niejakimś czasie w Niemców się przemienić, bo nie jesteśmy gąsienicami, aby się w poczwarki zamieniać. *(Głosy: Nigdy nie zostaniemy Niemcami! Burzliwe brawo!)* Nawet bezrozumne stworzenie jak kura do swych młodych nie będzie kwakać, ani kaczką gdakać. *(Ogólne brawa!)*

Z temi przez 6 lat w ojczystym języku nabytemi wiadomościami przychodzi dziecko do szkoły, która to zamiast przez rodziców rozpoczęte dzieło dalej prowadzić i uzupełnić, burzy wszystko od razu, nauczając w obcym, dla dziecka niezrozumiałym języku, a szukając zanadto kijem od tyłu, drogi do serca. *(Homeryczny śmiech i burzliwe oklaski).* Dzieci słyszą ustawicznie „der die dasy“, na plecy dostają kiełbasy — ale kijem. *(Ogólna wesołość i brawa!)*

Jak się pewien nauczyciel wyraził, jest dzisiejsza nauka niczem więcej, jak tresurą małp i papug. *(Głosy: Tak jest!)* Słuchajcie bracia drodzy, potomstwo po tak wielkich przodkach i sławnych bohaterach jak Sobieski, którego to niemiecki poseł na kolanach o pomoc błagał, *(burzliwe oklaski)*, uważane bywa teraz za rodzaj małp i papug.

Dzieci nasze są na obraz i podobieństwo Boże stworzone; więc żądamy, aby jako takie nam szkoła wychowała na ludzi Bogu miłych, a bliźniemu pożytecznych. A tu żal się Boże! ni dla Boga, ni dla ludzi, A przysłowie mówi: Jakie wychowanie takie zachowanie. Niemcy powiadają, że dają nam język piękniejszy, za taką życzliwość serdecznie dziękujemy. *(Huczne, długotrwałe oklaski i wołania: nie chcemy!)* Naszego giętkiego, cudnego, nad wyraz pięknego polskiego języka, tej świętej spuścizny po ojcach naszych, którym to tylu świętych Boga chwaliło, nie zrzeczemy się za nic w świecie, (entuzyastyczne wołanie: nigdy). W pewnej szkole po śmierci nauczyciela polaka, zastępował przez pewien czas nauczyciel Niemiec 3 dni w tygodniu i nauczyciel Polak drugie 3 dni. Ów Niemiec, nie umiejący po polsku, pyta się małej dziewczynki: „Wie heisst du?“ dziecko wytrzeszczyło oczy i nic, nauczyciel powtarza to samo, nareszcie dziecko też: „Wie heisst du?“, nauczyciel się zrazu rozśmiał, ale dodał zaraz: „Schafskopf!“; dziewczę ośmielone uśmiechem nauczyciela, że to pewnie dobrze powiedziało, powtarza też czemprędzej „Schafskopf!“ *(ogromna wesołość);* nauczycielowi było tego za wiele, sponiewierał dziewczę co nie miara. Nauczyciel ów bił, poniewierał dzieci bez miłosierdzia, przeklinał i łżył jak: „Dummes polnisches Vieh“ itd. jedynie ze złości, że się nie mógł z niemi porozumieć.

Pewien sąsiad powiada, że dziecko jego zrywa się we śnie i powtarza: „Gott hat mich erschaffen“, gdy go się rano pyta, co to ma znaczyć po polsku, odpowiada, że je Bóg zrobił owcą.

Tyle już zostało w teraźniejszej szkole oćwiczone, że wie, iż Gott jest Bóg a Schaf owca *(ogólny śmiech i brawo)*, przytem słyszy od nauczyciela to pochlebne słowo Schafskopf, więc już jest pewne, że Bóg stworzył owcę *(wesołośc).* W te dni co ów zastępca Niemiec miał uczyć, jakby zaraza spadła, bo połowa dzieci chorowała i nie szła do szkoły.

Nie jestem lekarzem, ale wiem, że od strachu też zachorować można. Powiedzcie teraz, bracia drodzy, jak to dziecko mogło się czegoś nauczyć, kiedy ono miało robotę trzymać się za brzuch i myśleć o tem, aby mu się od strachu coś nieprzyjemnego nie stało *(homeryczny śmiech i burzliwe oklaski).*

To też przez 8 lat regularnego chodzenia do szkoły, dzieci prawie nic nie umieją, bo gdy co napiszą, to tam polskich, niemieckich, nawet i ruskich głosek nie brak. Doprawdy, trzeba być w teraźniejszej szkole oćwiczony, aby to przeczytać *(ogromna wesołość).*

Za tak ciężki pieniądz, składany na nauczyciela, zamiast wyręczenia, mamy tylko zmartwienie *(głosy: Tak jest!)*, bo nie tylko, że się dzieci nic nie nauczą, ale nam jeszcze dzieci katują i poniewierają, i gdybyśmy ich sami w domu nie uczyli, to poszłyby cielętami a wyszły wołami *(wielka wesołość).* Zdaje się, że na to tylko jesteśmy, aby „Maul halten, Steuer zahlen“ *(pysk. zamknąć i podatki płacić) (głosy: oho!)*

Nie do opisania wielka krzywda nam się dzieje, ale czyż wobec tego założymy ręce bezczynnie i narzekać tylko będziemy? *(Ogólne wołanie: Nie!)*

Dziś nie słychać polskiej pieśni,
Inne hasła, obcy ludzie,
Polskość skryła się gdzieś w cieśni
Nie ulegniem żadnej złudzie,
Dzisiaj dręczy cały kraj
Hakatystów piękny maj.

My tu dziś zebrani wiecownicy protestujemy wobec Boga i całego świata przeciw rozporządzeniom ministrów, dotyczących nauki polskiego języka i religii, również protestujemy przeciw wszelkim prawom antypolskim i wyjątkowym i oświadczamy, że nie żądamy niczego więcej, jak tylko równouprawnienia. *(Frenetyczne oklaski).* My zaś ślubujemy sobie, że dopóki serca nasze biją, nie uronimy nic z tych św. pamiątek, ale je w całości przekażemy dzieciom naszym; uczmy je czytać, pisać, mówić i myśleć po polsku, śpiewać piękne pieśni kościelne i narodowe. — Ślubujmy sobie także, że wpajać będziemy w młode serca miłość ojczyzny, aby nie opuszczały lekkomyślnie tej dobrej matki, która jeszcze nikogo nie ogłodziła i żeby strzegli jej jako młode orły gniazd swoich, *(oklaski.)* a tym, którzy to drogie rozdzierali ciało i obcym na pastwę rzucali szczątki, przebacz Panie, przebacz i oświeć, by przejrzeli, bo dosyć już wstydu i hańby.

Gdy razu pewnego przyszedł anioł na ziemię w swe strony rodzinne tu około Witkowa, zajrzał do pałaców. Tam obcy mieszkali, otarł łzę w oku i poszedł w stronę wioski rodzinnej. Po drodze tak mówił do siebie: Czy tam jeszcze wszystko jak dawniej? Niestety, przyszedłszy do wsi westchnął: Gdzież te chatki mchem pokryte? Gdzież ten dworek wśród lip ukryty? Gdzież te pieśni, płynące jedną modłą rzewnie ku górze? Czemu tu tak zimno, tak obco? Nie — to chyba nie moja wioska rodzinna, gdzie stała moja kolebka, to jakaś inna, a jednak mi tak znajoma. I sam anioł byłby nie poznał wioski rodzinnej, gdyby — jeszcze chłopcem będąc — nie był wyrył na olszynie znaku. Ze łzami w oczach zawołał: O, Boże mój! Po tym znaku,

wyrytym na starej olszy, poznaję cię, o ojców moich ziemio, lecz cóż zrobiono z ciebie? W miejscu znajomych chatek jakieś domki miejskie, a w nich obce gwary, obce szaty, obcy ludzie, buty z drzewa gdyby łodzie.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi anioła, zakrył skrzydłem palącą się wstydem twarz, a patrząc w niebo szeptał: Przebacz Panie, tym co nie wiedzą, co czynią, przebacz i oświeć, aby przejrzeli, bo dosyć już wstydu i hańby.

I poszedł ku znajomej chatce na końcu wsi, a zajrzawszy przez okno, ujrzał jak robotnik polski po całodziennej ciężkiej pracy trzymał na kolanach syna i pokazywał mu litery zachęcając do nauki ojczystego języka. Wysłannik z nieba złożył dłonie i nad schylonemi głowami znak nakreślił krzyża, a rozpostarłszy skrzydła, wzniósł się ku niebu.

Po tej wizytacyi złożył Panu Bogu następujące sprawozdanie: Panie, widziałem u polskiego ludu wiele łez i boleści, wstydu i upokorzenia, przecież zwątpienia nie widziałem. Widziałem i to, że kapłan zasiadł przy chłopku w siermiędze, a pan bogaty przy ubogim rzemieślniku z jedną myślą, swój do swego. Tam gdzie wiara tak żywa, gdzie miłość współbraci nie czczem tylko słowem, tam jeszcze nic nie jest straconem.

A więc bracia drodzy, niech nadzieja wstąpi w serca nasze.

A teraz przyłóżmy rękę do dzieła, aby ten ptak czarny, wypuszczony ze saskich borów nie stał nam się krukiem unoszącym się nad naszym cmentarzem, ale raczej białą gołębicą, zwiastującą lepsze czasy.

Bracia moi, jeszcze przyjdzie
Dla gnębionych ludów wiosna
Sprawiedliwość z góry zejdzie
I znów zabrzmi pieśń radosna.
Będziem wołać: grajku, graj
Polską nutę, Boże daj.
Bo nie wierzcie, nie mówcie, że śpi już na wieki
I ze snu do życia nigdy się nie zbudzi
Może dzień zmartwychwstania już jest niedaleki,
Boże sądy są inne — a inne u ludzi.

(Entuzyastyczne, długotrwałe brawa i oklaski.)

Ze starych szpargałów.

Dobrze jest niekiedy zaglądać do starych druków i do starych gazet. Dowiedzieć się tam można często o bardzo ciekawych rzeczach, a zwłaszcza o tem, że wady nasze nie wiele się różnią od wad naszych ojców. Taka wiadomość zawsze jest coś warta.

Mamy przed sobą rocznik czasopisma wychodzącego w Warszawie, z r. 1817. W gazecie tej, drukokowanej na szpetnej bibule (ale zawsze lepszej od dzisiejszej, bo trwalszej), obok sążnistych rozpraw, obok ciekawych rozporządzeń rządowych, przypominających niepowrotnie minione dni, znajdujemy także obszerne sprawozdania teatralne, podpisywane różnemi literami, przeważnie jednak tajemniczem X. Z tych sprawozdań wyciągnąć można wniosek, że już wtedy przed ośmdziesięciu przeszło laty, chorowaliśmy na nieszczęsną, ogłupiającą teatromanię. Zamiast zająć się sprawami krajowemi, literaturą, kwestyami społecznemi, rozpisywano się, zupełnie tak samo jak dzisiaj, o teatrze, o grze aktorów i aktorek, — spierano się i zapełniano tą sieczką całe szpalty. Nic więc nowego pod słońcem i wszystko to już było, jak powiada nieśmiertelny Ben Akkiba.

Rzeczy doszły do tego, iż jakiś trzeźwiejszy i zdrowszym rozumem opatrzony człowiek, ukrywający się pod pseudonimem Cypryna Chudeyko, a ukrywający się dlatego zapewne, że bał się poruszyć otwarcie gniazdo szerszeni... chciałem powiedzieć sprawozdawców teatralnych i dbały o swe dobre imię i całą skórę, musiał przybrać maskę — wystąpił przeciw tej teatromanii.

Wystąpienie pana Chudeyki jest bardzo rozumne, a jako takie, gwoli zbudowania, warte jest dziś jeszcze przeczytania bacznego. Pozwalamy więc sobie ważniejsze i dosadniejsze z niego ustępy przytoczyć, na dowód, że przez lat 80 przeszło niczego nasi dziennikarze się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. A choć wiemy, że będzie to groch na ścianę, jednakże gdybym nie mówił, to kamienie by mówiły.

Oto co pisze do redaktora wspomnianej gazety pan Chudeyko.

„Już od dwóch lat prawie umieszcza W. Pan Dobrodziej w gazecie swojej, gęste jakieś artykuły teatralne i zazwyczaj większa część dodatku niemi zapełniona. Nie wiem, jaki tam gust znajdują panowie Warszawianie, ale my, na wsi mieszkający, wcale się na to nie piszemy. Przyznasz, że gazeta, nie dla jednej przeznaczona Warszawy; i my też płacimy i nam by też dogodzić wypadało. Nadto dobrze trzymam o Waćpanu, abym miał zrozumieć, że sam jesteś tych artykułów autorem, a jeśli ten pan Xawery, Xenofon, czy jak on się tam nazywa, co się w abbrewiacyi podpisuje, jeżeli go taka świerzbiączka pisania napadła, nie może on swoją mądrość gdzieindziej wylać? po co mu do gazety? Przyznam się, że nie jestem w najlepszej sytuacyi. Choć dawniej dość lubiłem bawić się literaturą, dziś już nic nie czytam, jeno gazetę i na tej

nawet abonowanie dość trudno mi się zdobyć. Składamy się więc na nią z Xiędzem Proboszczem i mamy z niej dwa razy na tydzień pożyteczną rozrywkę. Ale proszę Waćpana Dobrodzieja, cóż nam po tych artykułach komedyanckich? — Czy oni tam dobrze, lub źle grają, cóż to nas obchodzi? — Najgorzej to, że jak się jeden paplacz zjawił, wszyscy za nim paplać zaczęli, stąd jedne w drugie responsy, kontraresponsy, a wszystko w gazecie, a wszystko z naszej kieszeni! Niechże nam zwrócą za tę część gazety, która nam w niwecz poszła. Miły Boże! tyle się teraz dzieje rzeczy ciekawych w polityce! czyż ich nie dość na całą gazetę! A jeżeli nie stanie nowin, to są anegdoty przeszłego czasu, lub jakie dykteryjki. Tem to dawniej gazety przepychali, kiedy się już nigdzie nie bili na świecie! to przecie można było dać dzieciom w ręce i nie były pieniądze stracone.

„Teraz, cóż się dzieje? Oto córki moje, jak wyczytały w gazecie wszystkie te exklamacye i exaltacye nad aktorami i aktorkami, palą się do miasta i póty mi będą głowę suszyły, póki nie powiozę ich choć na tydzień do Warszawy. A za czemże pojadę, kiedy i grosza nie mam? Daremnie ja ich reflektuję, że to są wszystko blichtry, że nie wszystko złoto co się świeci, że każdy swój towar chwali, a pan X. zapewne sam do teatru należy. Jak groch na ścianę; one wszystko swoje. Nauczył ich pan X., że „pani Kurpińska urodziła się na Królowę Róży", że „pani Dmuszewska wszystkie wdzięki Jadwigi przejęła", że „pani Ledóchowska ma tkliwy organ", a „pan Szymanowski pełną i brzmiącą wymowę", że „pan Żółkowski jest bożkiem śmiechów", a pan Kudlicz „wzorem sztuki scenicznej", i tysiąc innych frazesów, które ja ledwo rozumiem, a one na pamięć umieją.

„Nie wiem, czy się tak świat przemienił; ale przecie i ja bywałem w Warszawie, uczęszczałem na teatr, pamiętam jak dziś Owsińskiego, Swierzawskiego i innych. Wszystka publiczność zgadzała się na to, że dobrze grali, a przecież nikomu nie przyszło na myśl traktaty o nich pisać w gazecie. Zkądby się dziś jednym razem tak wielkie talenta zjawiły, żeby aż warto było *vocem publicam* do ich rozgłoszenia użyć?

„Już ja widzę, skąd tu wiatr wieje. Zapewne pan Bogusławski, czy kto tam teatrem zawiaduje, postrzegł się, że już nie bardzo do niego uczęszczają, więc wziął się do tego sposobu dla zaostrzenia ciekawości. Z Panem Bogiem! dobry to koncept, ale niechże to nie będzie kosztem naszej kieszeni, a nawet spokojności domowej. Proszę więc mojem i wielu innych imieniem, żebyś albo przestał przyjmować owe teatralne gawędy, albo uwolnił nas od połowy abonamentu. Zostaję z winnem uszanowaniem Wielmożnego Pana Dobrodzieja, najniższym sługą *Cypryan Chudeyko*."

I cóż? czy myślicie, że słuszny głos pana Chudeyki poskutkował? Wcale nie; „gawędy teatralne" drukowały się ciągle, jak dziś się drukują, pomimo wielu nawoływań ludzi trzeźwiejszych.

Okazuje się, żeśmy się w niczem nie zmienili i wszystko to już było.

w.

ZE SPRAW KOBIECYCH.

Zabiera się dzisiaj we Francyi na założenie instytucyi, którą projektodawcy nazwać zamierzają „Związkiem matek." Działalność tego stowarzyszenia ma być nader wielostronna, a między kobietami, które wzięły tę myśl do serca i chcą jej użyczyć swego szczerego poparcia znajdujemy nazwiska znane i popularne w tym kraju.

Wychowując kobietę (mówią założycielki), ustawicznie mieć winniśmy na uwadze, że ma ona w społeczności trojakie zadanie do spełnienia. Jest przedewszystkiem istotą ludzką w ogólnem rozumieniu zadań obciążających człowieka — dalej czekają na nią obowiązki siostry i towarzyszki życia mężczyzny — wreszcie w niezmiernej większości wypadków musi ona być pracownicą zarabiającą na chleb powszedni, jako urzędniczka, artystka, nauczycielka, robotnica fabryczna i t. p. Żadne z tych towarzyskich położeń kobiety nie wyklucza możliwości jej połączenia się związkiem małżeńskim, i dlatego młoda dziewczyna, bez względu na to do jakiej sfery społecznej należy, winna być do tych obowiązków przygotowaną przez wychowanie.

Stosując się do tego potrójnego zadania kobiety, ma ona pobierać przedewszystkiem wykształcenie szkolne zastosowane do stanu, następnie należy się jej przygotowanie zawodowe, któreby jej zapewniło byt niezależny, w końcu obznajmić ją potrzeba z tem wszystkiem, co kobiecie jako żonie, matce i gospodyni domu jest niezbędnem.

Założycielki związku matek są tego zdania, że praca kobiety na zewnątrz domu z jej obowiązkami żony i matki pogodzić się daje w pewnym stopniu, a choćby zachodziły nawet pewne w tym względzie konflikty, to nienależy zapominać, że żyjemy w epoce, która ma sobie narzuconą jako konieczność pracę niewieścią. Przemysł fabryczny ze swoimi kapitałami, maszynami, pochłonął całkowicie przemysł domowy, a wzmożone starania państw w celu udostępnienia wszystkim dobrodziejstw oświaty, znakomicie zmniejszyły odpowiedzialność macierzyńską. Nakoniec widzimy, że położenie ekonomiczne dzisiejsze pozostawiło w stanie niezamężnym miliony kobiet, które zmuszone są myśleć o sobie. Francya ma naprzykład 2.622.170 panien pełnoletnich, równie jak 924.286 kobiet zamężnych bezdzietnych, razem z górą 3 miliony takich, których nie obarcza ani zarząd domu, ani trudy wychowania. We Francyi obok 11.612.072 mężczyzn pracuje 5.672.806 kobiet, których zarobki wynoszą rocznie 3.120.000.000 franków. W urzędach stosunek mężczyzn do kobiet ma się jak 100 do 23. W sferze robotniczej stosunek ten przedstawia się jak 100 do 36,5.

Między stu jednostkami klasy służebnej jest kobiet sześćdziesiąt pięć.

Przyznać należy, że większa część tych pracownic składa się z kategoryi: niezamężnych, wdów, separatek i rozwiedzionych, zkąd rzuca się do oczu ten wniosek konieczny, że każdej kobiecie należy się niezależność, aby była w stanie zarobić na byt własny. Nie przeszkadza to jednakże zasadzie, aby każda z nich w młodości wczesnej uczoną była tajemnic domowego gospodarstwa, w wieku bowiem szkolnym i bezpośrednio po nim następującej epoce, żadna nie jest w stanie przewidzieć co dla niej gotuje przyszłość — pracę w domu, czy obowiązki poza domem.

Wypada się jednakże porozumieć, czem właściwie ma być ta nauka gospodarstwa domowego. Jedni mniemają, że w pewnym stopniu wyklucza ona nabywanie wiadomości — ci mylą się stanowczo. Nietylko nie wyklucza, ale stanowi raczej rodzaj syntezy, której zadaniem jednoczyć kierunek naukowy z utylitarnym. Przez to połączenie właśnie córka domu zamożnego będzie miała podane sobie środki kontroli podwładnej służby, znajomość tego, co stanowi słuszną miarę wymagań — uboga nauczy się najpewniejszych sposobów poprawienia i uprzyjemnienia bytu człowiekowi, którego została towarzyszką. Hygiena mieszkań, hygiena żywienia, hygiena w wychowaniu dzieci, roboty ręczne i wiele innych szczegółów nieodbicie potrzebnych w życiu familijnem, stanowić muszą przedmiot wykładów.

Niektóre społeczeństwa wielkie już na tej drodze zrobiły postępy. W Anglii naprzykład powstała w roku 1873 pierwsza tak zwana: „Narodowa szkoła kucharstwa" na użytek dziewcząt młodych. Następnie pojedyncze działy pracy gospodarczej zaczęto traktować bardziej metodycznie w rozmaitych zakładach naukowych. Dziś już nauka gotowania udzielaną bywa w 5109 szkołach żeńskich i korzysta z niej ogólnie biorąc 263.683 uczennic. W Szwajcaryi państwo udziela zapomogi 226-ciu zakładom żeńskim, które wprowadziły do swego programu naukę gospodarstwa. Belgia ma 275 szkół i klas gospodarskich specyalnych, których utrzymanie roczne kosztuje 400.000 franków. W Szwecyi nauczanie gospodarstwa w zakresie miejskim i wiejskim wzięte jest bardzo pod uwagę, i wprowadzono je nietylko w zakładach naukowych Stockholmskich, ale i w szkołach najodleglejszej prowincyi. Poza oceanem 150 miast Stanów Zjednoczonych na 601 czyli ¼ wszystkich miast przyjęły naukę kucharstwa i szycia jako obowiązujące w programie szkolnym. Dodać winniśmy, że w tych wszystkich krajach wprowadzenie kierunku utylitarnego dlatego nie natrafiło na przeszkody, że tam stowarzyszenia kobiece bezpośrednio oddziaływają na administracye szkolne.

Jest tedy już dzisiaj pewnikiem, że do życia w rodzinie kobieta musi być przygotowaną przez wychowanie — przygotowaną teoretycznie i praktycznie, również ustaliła się opinia, że niedosyć jest wprowadzić po szkołach wykłady przedmiotów traktujących naukę gotowania i całego wogóle gospodarczego zachodu, ale że jest konieczność zakładania całej seryi szkół specyalnych, z których jedne będą miały przeznaczenie sposobić przyszłe gospodynie dla klas miejskich, inne służyć będą dla klasy rolnej.

Wszystkie tego rodzaju programy podlegać muszą pod względem wykonania kontroli stowarzyszeń kobiecych świadomych swego założenia, a założenie to stanowi poprawę losu kobiety i jej domowego ogniska. W Anglii kontrolę taką rozciągają: Związek przyjacielski młodych dziewcząt (Girls Friendly Society), który pozostawał pod protektoratem zmarłej królowej Wiktoryi. Zajmuje się on opieką nad młodemi dziewczętami służącemi i liczy imponującą cyfrę 240.243 członków. W Szwajcaryi instytucya noszącą nazwę „Stowarzyszenia publicznej użyteczności kobiety" (Societé d'utilité publique des femmes) założoną została w roku 1888 i ma za cel kształcenie gospodyń i poprawę ich losu. Przeszło 4000 kobiet podzielonych na 50 sekcyi pracuje tu nad rozpowszechnieniem nauki gospodarstwa. Wiedeń i Berlin mają również swoje stowarzyszenia kobiet-gospodyń. W tak małem państewku jak W. Księstwo Badeńskie, założone w roku 1859 stowarzyszenie grupuje dzisiaj olbrzymią cyfrę 37.737 kobiet podzielonych na 263 sekcyi. W Stanach Zjednoczonych federacya klubów kobiecych, których jest razem 2110 ma członków niewieścich 132.000. Od roku 1893 posiada Unija stowarzyszenie oszczędności domowej założone w Chicago (National Household Economic Association), do którego należy 20.000 kobiet.

Te wszystkie przykłady pobudzają Francyę do naśladownictwa, bo w istocie pod względem działalności w duchu zrzeszania się, dali się Francuzi wyprzedzić innym narodom. Projektowany obecnie związek matek położył sobie za cel poprawę losu kobiety niby w rozległem rozumieniu. Program jego obejmuje stronę ekonomiczną i obywatelską zarówno, a nawet nie wyrzeka się przygotowania kobiety do życia politycznego. Jest tam na widoku reforma stosunku małżeńskiego, a także zastąpienie zwierzchnictwa ojcowskiego *(autorité paternelle)* przez nadzór obojga rodziców *(garde parentale)*, które wyższy stopień powagi przyznaje matce, aniżeli ta, z jakiej korzystała dotąd.

Ażeby osiągnąć ten cel, należy rozpocząć od wychowania młodych dziewcząt. Nie można się jednak oprzeć myśli, że zmiana polega przedewszystkiem na uzupełnieniu wychowania dotychczasowego przez wzmocnienie strony utylitarnej rozwoju, a po części na rozszerzeniu widnokręgu zapatrywań i działalności. Czy jednakże będzie to już samo przez się stanowić początek zwrotu ku lepszemu w wychowaniu kobiety?

Warunki zapewnienia rodzinie szczęścia przez kobietę — tej rodzinie, którą ona ma własnym geniuszem stworzyć, ogrzewać i utrzymać w spójni, są tak skomplikowane, że nie wydaje się nam rozwiązaniem kwestyi uzupełnić typ francuzki dzisiejszej wiadomościami z dziedziny zarządu domowego i przygotowaniem jej pewnem do zrozumienia arkanów życia politycznego. To wszystko wzmaga dotąd w teoryi użyteczność praktyczną i rozwój umysłu — o kształceniu duszy w podnioślejszym rozumieniu, tej duszy, która stanowi treść rzeczy, a która drzemie tam sobie doskonale, przysypana całkowicie chęcią błyszczenia w życiu powierzchownem, a wystudzoną jest niżej zera kierunkiem wychowania, nic się jakoś nie mówi. A jednak temu wielkiemu brakowi nocye kulinarne, nauka ładu domowego i zachcianki przyjęcia udziału w polityce nie zapobiegną wcale. *(Tyg. m. i pow.)*.

Kronika dwutygodniowa.

Z niezwykłą ciekawością idę na pierwsze przedstawienie „Wesela“ Wyspiańskiego. Nie czytałem wprawdzie jeszcze jego „Legionu“, który Tetmajer stawia w rzędzie arcydzieł, ale pamiętam jak głębokie wrażenie wywarł na mnie „Lelewel“. Przypuszczam, że ujrzę coś mglistego, chaotycznego, ale z piętnem wielkiego talentu, że zobaczę na scenie sytuacye może dziwaczne, ale śmiałe i oryginalne.

Wrażenie z pierwszego aktu mdłe, prawie żadne. Na scenie, z drobnym wyjątkiem, wciąż dwie osoby. Jedna para wychodzi, przychodzi druga, – wychodzi druga, przychodzi trzecia itd. A każda mówi o czem innem. Flirty, traktaciki, wspomnienia, uściski, banalności, dowcipy. Czasem błyśnie jakieś gorętsze słowo (Czepiec), zaświeci myśl głębsza (w dyalogach gospodarza z panem młodym i poetą), ale ginie to w masie rozmów obojętnych. Charakterystyka postaci dobra — po pierwszych słowach każdego dyalogu, wiemy już z kim mamy do czynienia. Tylko — nic niema do czynienia. Żadnej akcyi, żadnej nici wiążącej dyalogi. Psuje też wrażenie domyślność własna i sąsiadów. Naokoło słychać: to R. a to jego żona, to Włodzimierz a to Kazimierz T., gospodyni to p. Włodzimierzowa, radczyni to doktorowa X., dziennikarz to p. Y. „Nos“ to podobno P. Marysia to była narzeczona zmarłego malarza Del. Mimowoli nasuwa się pytanie, zkąd te postacie wzięły się na scenie? Jedne nas całkiem nie obchodzą, drugie „twórcze“, obchodzić muszą, ale nie do tego stopnia, aby przez szkła lornet teatralnych wglądać w ich mózgi i serca, przypatrywać się ich namiętnościom i słabostkom. Ślub poety z wiejską dziewczyną dostarczył aż nadto pokarmu plotkarstwu krakowskiemu, — poco jeszcze echa tych plotek mamy słyszeć ze sceny?

Poeta wprowadził słuchaczy w nastrój, ale znużenia. Czuć, że wszyscy się nudzą, coraz obojętniej słuchają. I dlatego końcowa scena, w której państwo młodzi wzywają ze śmiechem na wesele chochoła, przechodzi niezrozumiana. Tymczasem pokazuje się, że, jak przy mowach parlamentarnych, tak i tu powinien ktoś zawołać: słuchajcie! aby zwrócić uwagę, że... należy zwrócić uwagę. Ta scena jest bowiem zawiązkiem dramatu, z niej urodzi się wszystko następne. To co było, to na razie tylko obrazek sceniczny bardzo.... niesceniczny. Z tego obrazka jednak przypomną się później pojedyncze słowa i całe ustępy, przypomną się lekko, ale doskonale zaznaczone charaktery, lapidarnie streszczone marzenia i porywy, okropne wspomnienia, złote nadzieje i rozpaczliwe niemoce. Ale na razie nikt prawie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Z realistycznego obrazka przenosi nas akt drugi w świat fantazyi. Rozpoczynający go Chochoł zapowiada „wiele gości“ — każdy ujrzy „co mu w duszy gra“. I oto ukazuje się Marysi widmo narzeczonego — rzecz nastrojowa, poetyczna, ale oderwana. Z wejściem Stańczyka i z pierwszemi jego słowy podnosi się zaciekawienie — płyną ze sceny słowa ostre, dojmuje ból, zaczynamy się wstydzić razem ze Stańczykiem. Gniewa mnie tylko dziennikarz zawiele gadający, – prawda, że to dziennikarz. Gdyby był mniej chaotyczny, więcej streszczał swą walkę wewnętrzną, wrażenie byłoby silniejsze. Ale i tak jest silne, bo zapomina się i o „chacie rozśpiewanej“ i o ludzie „bajecznie kolorowym“, a czeka się dalszych „targań“. I nie czyni poeta zawodu. Widma Zawiszy, Branickiego, Szeli, Wernyhory sięgają „do wnętrza trzew“. Zaczynamy pojmować, że to nie „sztuka ludowa“ ani obrazek rodzajowy, ale dramat narodowy, że ta historya „ogromnie smutna“ jest i satyrą i nauką i przekleństwem i wołaniem na puszczy... W obec tego zapominamy o niedostatkach „sztuki“, o tem, że znowu mamy same dyalogi, — „szopkę“ jak się wyraża jeden i drugi filister.

Akt trzeci świetny pod względem oryginalnych pomysłów jest ujęciem całości, przybraniem w szaty symbolistyki wierzeń i uczuć poety na tle zagadnień narodowych i społecznych. Kreśląc czysto osobiste wrażenia, powiem, że nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek odczuł tak głęboko nastrój panujący na scenie — owszem, po raz pierwszy dopiero z nim się pogodziłem. Wszystkie „nastroje“, jakie było danem mi widzieć, wydawały mi się, z małym wyjątkiem, sztuczkami, pozowaniem na oryginalność, parawanem zakrywającym płytkość myśli. W „Weselu“ dopiero poznałem potęgę nastroju prawdziwego.

Streszczam wrażenie własne z pierwszego przedstawienia: pomysł potężny, symbolika wspaniała, poezya ogromna, fantazya prawie bezprzykładna, satyra gryząca, charakterystyka szamotań się, rozterek i walk wewnętrznych naszego społeczeństwa — wyborna. Ale jako dzieło sztuki rzecz niewykończona, szkicowa, — jako utwór sceniczny słaba, prawie nieudolna.

Po przeczytaniu „Wesela“ w rękopisie urosło ono w moich oczach niezmiernie. Z rękopisu lepiej zrozumiałem myśl poety, pojąłem logiczny i misterny plan budowy tej fantazyi poetycznej, odczułem piękności języka i podziwiałem muzykalność wiersza. Takie utwory poetyczne a „niesceniczne“ naprzód powinny być ogłaszane drukiem, a później dopiero wystawione na scenie.

Ale jeżeli odczytanie „Wesela“ wydobyło na wierzch sporo niedostrzeżonych na przedstawieniu piękności, to jednocześnie uwypukliło wady utworu. Utwierdziłem się naprzód w przekonaniu, że dziennikarz, w zbyt długiej i nużącej rozmowie ze Stańczykiem jest mglisty, chaotyczny, niezrozumiały. Sądzę dalej, że można obyć się bez księdza, radczyni, bez banalnych podlotków, że nawet scena widma z Marysią, ładna sama w sobie, jest zbyteczna, bo nie wiąże się z podniosłą całością aktu drugiego. O Ruysdaelu mówić chłopom chyba trochę — zawcześnie, a naodwrót pani radczyni, mówiąca „se“ i „pogapuje“ nie wygląda na radczynię. Pozwoliłbym także pannie młodej na trochę mniej... naturalności — niechby kto inny za nią poradził „walić w mordę“. Ale co najgorsze, to lekceważenie formy. Obok świetnych ustępów, czyniących zadość wszelkim wymaganiom poetyki, spotyka się coś takiego, co razi zarówno zmysł estetyczny jak i najmniej wybredne poczucie piękna formy. Są rymy, do których nietylko nie przyznałby się dzisiejszy soneciarz dekadencki, ale które nie uchodziły już za czasów śpiewaka Justyny. Poeta nie zadaje sobie trudu: brakuje mu w wierszu parę zgłosek, to się bez nich obchodzi, natomiast gdzieindziej da ich za wiele. Wszystkie te wady są skutkiem pośpiechu, co jednak nie usprawiedliwia. Dopiero zrównoważone piękno treści jak i formy stanowi wielkie dzieło sztuki. Przypatrzmy się choćby autografom Mickiewicza i Słowackiego — ileż tam widzimy poprawek, przekreśleń; co krok spotykamy warjanty, całe ustępy skazane na zagładę i zastąpione innemi; nieraz poeta zmieniał całą konstrukcyą poematu... Jakąż moc rzeczy zostawił Słowacki w rękopisie, bo jeszcze chciał je poprawić, wykończyć, cyzelować. Wyspiański ze Słowackiego bierze początek — czemuż na tym punkcie zrywa z nim związki pokrewieństwa?

Jak każdy poemat symboliczno-fantastyczny daje „Wesele“ obszerne pole do odgadywania myśli poety. Mamy już parę komentarzy. Jednemu krytykowi zdaje się, że autor podjąwszy „kwestyę chłopską“ rozwiał poetyczny idealizm, który zbudował chłopa-kosyniera, że „poddał bezwzględnej rewizyi jeden z ideałów okresu romantycznego“. Drugi krytyk załamuje ręce z rozpaczy, bo widzi w poemacie wróżbę, że „świty nowej ludzkości zastaną nas sennych, półpijanych, okręcających się maniakalicznie w takt fantomu, ogrywanego przez pierwszego słomianego chochoła“!

Nie myślę się spierać, ale tendencya utworu wydaje mi się mniej tragiczna. Do-

strzegam bardzo głęboką satyrę, ale nie widzę ani owej „rewizyi“, ani strasznego proroctwa. Nie widzę nawet, aby pesymizm gościł wyłącznie w sercu poety. Owszem zdaje mi się, że go miejscami chwytam na optymiźmie. Musiał cofnąć się w przeszłość, aby wydobyć z niej Szelę i Branickiego — w teraźniejszości ich nie znalazł i znaleźćby nie mógł. Mogą być i są jeszcze zachcianki oligarchiczne, ale jakże daleko od nich do Targowicy. Choćbyśmy w skrajnym pesymiźmie widzieli w przyszłości możliwość nowego „dymu pożarów i kurzu krwi bratniej“, to w każdym razie, w tym dymie nie może już być miejsca na noże austryackie broczące w krwi inteligencji i szlachty za ich patrjotyzm polski, za marzenia o niepodległości. Wyspiański przecenia nawet (i w tem widzę jego optymizm) rozbudzenie się poczucia narodowego u ludu. Widzimy, że na hasło: bić Moskali, zrywa się co żyje, „błoń pełna ludu, pełna kos“ — tylko niema kto stanąć na czele, tylko „nie słychać tententu od krakowskiego gościńca“.

I tutaj satyra występuje najpotężniej. Cały ten czar, jaki spada na gromadę, to zgubienie złotego rogu przez Jaśka, to odłożenie kos, to senne okręcanie się par tanecznych w takt muzyki Chochoła, cała ta świetna symbolistyka, to wyrzut poety zwrócony do warstw oświeconych: jacy wy mali, jacy niedołężni, jak pozwalacie byle chochołowi mieć władzę nad ludem, jak się zbliżacie do niego jedynie dla „szopki“. Wyrzut ze wszech miar słuszny. Nie idzie tu o kosy, bo na nie dziś nie pora, ale jak my korzystamy z tej „wielgiej mocy“, o której sami ludowi mówimy? Kto się do niego zbliża? — ci co chcą go wyzyskać, i ci co kandydują, a czasem wreszcie ci, co chcą doznać nowych wrażeń. Publicystyka, do której należy wskazywać drogi narodowi, zapisuje... rezultat wyborów, opisuje... wesela — i „mąci wodę“. Ale poeta nigdzie nie mówi, aby ta „wielka moc“ była złudzeniem, nigdzie nie mówi, że to, co dziś jest, trwać będzie wiecznie. Przyjdą inni, co z wielkiego materjału wykują posąg wolności. Poeta bluzga w oczy satyrą, aby tę chwilę przyspieszyć. Może się mylę, ale tego się doczytałem w dziele Wyspiańskiego.

Olbrzymie powodzenie „Wesela“ nie dziwi mnie, — ogół nie porzucił jeszcze na szczęście „starych bogów“, wierzy w odrodzenie, ulega czarowi prawdziwej narodowej poezyi. Ale inna rzecz budzi zdumienie. Nie tak to dawne czasy, kiedy „Młoda Polska“ literacka, która nie wiem z jakiej racyi przyznawała się do autora „Wesela“, kamieniem godziła we wszelką tendencję. Ba! doszło do tego, że przez uwielbienie „sztuki dla sztuki“ wydrwiwano w poezji patryjotyzm. I oto ten, którego robiono chorążym Młodej Polski, pisze dramat najwięcej tendencyjny, jaki może istnieje w naszej literaturze, a w nim uderza tak silnie w strunę narodową, jak nie uderzano od lat wielu. Żąda od poetów, aby przestali pisać o sobie, o swych miłostkach i nastrojach, oraz wszelkich innych „podłościach“, a na swej tarczy „wypisali świętą sprawę“, bo „Polska to wielka rzecz“. I staje się rzecz dziwna: ten tłumik, któremu aż puchły dłonie od oklaskiwania przeciwników tendencji w sztuce, który z ironią odzywał się o „robotnikach patrjotyzmu“, ten sam tłumik z entuzyazmem przyjmuje „Wesele“. Nie pójdę tak daleko, abym Wyspiańskiemu przypisywał wyłączną zasługę tego zwrotu. Zawsze byłem przekonany, że „moda“ przeminie, że zdrowa natura zwalczy chorobę. Ci co wyśmiewali patrjotyzm, zaczęli już szukać natchnienia w ideałach narodowych. Bankructwo pojęć szerzonych przez Młodą Polskę stawało się coraz widoczniejsze, popomimo założenia jej filii chimerycznej w Warszawie. Ale Wyspiański zrobił swem dziełem olbrzymi wyłom w murach broniącej się rozpaczliwie warowni „sztuki dla sztuki“, — przyspiesza jej poddanie się wzniosłym celom poezyi. Do zrobienia takiego wyłomu potrzeba potężnej siły — wielkiego talentu.

Patrząc z tego punktu na „Wesele“, należy je postawić w rzędzie czynów obywatelskich.

Jeżeli ktoś z jakiego urzędu ustąpi, to musi być taki co po nim nastąpi. Ta głęboka uwaga każe przypuszczać, że znajdzie się następca p. Bobrzyńskiego. Sądzę nawet w pokorze ducha, że gdyby ogłoszono konkurs na posadę wiceprezydenta Rady szkolnej, to państwo odrazu zyskałoby fundusze na objęcie gimnazjum cieszyńskiego, bo suma uzyskana ze stempli na podaniach i załącznikach byłaby na ten cel najzupełniej wystarczająca.

Ale konkursu nie będzie, sprawę załatwi pan namiestnik — i oto pewnego dnia ukaże się nowy mąż, który stanie na czele armji, zwalczającej analfabetów. A imię jego: czterdzieści i cztery, czyli mówiąc mniej poetycznie: djabli wiedzą kto przypadnie do serca p. namiestnikowi.

A rzecz to niemała, — ba! w położeniu naszem nie znam ważniejszej. Od rozumnie krzewionej oświaty, od kierunku wychowania młodzieży zawisła cała nasza przyszłość. Więc możebyśmy przestali zajmować się na chwilę zaległościami podatkowemi we Lwowie, orderem p. Jaworskiego, przeróbką „Quo vadis“ na scenie paryzkiej, niewynalezionemi wynalazkami Szczepanika i innemi podobnemi sprawami „narodowej doniosłości“, a zajęli się zbieraniem podpisów na następującą równie krótką jak pokorną prośbę do p. namiestnika:

„Ekscellencjo! Nie rób wiceprezydentem Rady szkolnej ani wielkiego urzędnika, ani wielkiego polityka — lecz powołaj na to miejsce dobrego obywatela kraju, który oprócz rozumu ma i serce“.

Pod „wielkim urzędnikiem“ rozumiem naturalnie biurokratę, człowieka form, które tak często bywają bez treści. Wielki urzędnik“ umie zamrozić i podczas upałów, ale nie promionkuje z niego nigdy ciepło serca.

A jeszcze więcej obawiam się wielkiego polityka. Na miłość Boską niech choć dziedzina wychowania i nauki będzie wolną od polityki, niech ta straszna zaraza omija przynajmniej naszą szkołę ludową i średnie zakłady naukowe.

We wdzięcznej pamięci narodu pozostała Komisja edukacyjna; — zdziałała wiele może właśnie dlatego, że większość jej nie stanowili ani urzędnicy ani wielcy politycy. Obywatelska myśl, jaka przewodniczyła jej działalności, niech świeci i naszej naukowej magistraturze.

Człowieka trzeba, człowieka, który by umysłem swym szersze obejmował widnokręgi i rozumiał świętość swego powołania. Do apostolskiego dzieła apostolskie winien mieć przymioty: trud nieustanny, miłość dla sprawy, żarliwość w obronie prawdy. Niech wie, że co innego energja, a co innego samowola, że jeżeli wobec występków należy być surowym, to dla drobnych przewinień trzeba mieć wyrozumiałość. Niech pamięta, że sam był kiedyś młodym, — że dobrą, serdeczną radą i łagodnością (która nie jest jeszcze pobłażaniem) więcej nieraz zrobić można, niż karą i prześladowaniem. Jak dla każdego przełożonego tak i dla niego największym rozumem i największą cnotą powinna być sprawiedliwość. Niech mu się nie zdaje, że jest baszą w tureckim paszaliku, lecz niech będzie stróżem prawa i ojcem dla podwładnych. — Niech dążąc sam prostą drogą, nie daje posłuchu ludziom chodzącym krętemi ścieżkami.

Krótko mówiąc: tylko dobry obywatel, człowiek rozumu, rozsądku i wielkiego serca zdoła odpowiedzieć wzniosłemu zadaniu kierownika naszej oświaty. Takiego imię zapisanem będzie w księdze narodowego odrodzenia obok imion Adama Czartoryskiego, Chreptowicza, Ignacego Potockiego, Andrzeja Zamojskiego, Piramowicza, Niemcewicza, Zabłockiego i innych członków Komisyi edukacyjnej. Co daj Boże!

Niedawno jeden z moich znajomych bawił na Śląsku austryackim.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał od włościanina polskiego, były: „Galopsaj Jezus

Chrystus", co miało oznaczać: „Gelobt sei Jezus Christus". Drugi włościanin powitał go znowu: Glückau! Zawiązał rozmowę z tym drugim i dowiedział się, że jest mu na imię Lorenz, że ma braci Adalberta i Franza, a siostrę wydał za Johanna. Ten Lorenz szedł właśnie do miasta po kamilki, erbissowy zoftek i gajsty, co oznaczało, jak później miejscowy proboszcz objaśnił: rumianek, ślazowy ulepek i spirytus.

Czy potrzeba wobec tego udowadniać potrzebę istnienia polskiego gimnazjum w Cieszynie?

A jednak obecnie dowodzimy jej na różnych zebraniach, sejmikach. Z całego kraju płyną petycje do Koła polskiego, aby zmusił rząd do objęcia tego zakładu. Przebudzone Koło przeciera oczy, wkłada frak i pędzi do pana prezesa ministrów, gdzie się dowiaduje, że jeszcze nie pora mówić o „ukörberowaniu". „Ależ ministrze, wołają leopoldowcy, kraj nas ciśnie, bój się Boga — tu już nie o gimnazjum, ale o nas chodzi, o nas, którzy jesteśmy tacy grzeczni, posłuszni, pomadkowi". Minister wtedy otwiera pugilares i wyjmuje dwie tysiączki: „macie chłopcy na piwo... to jest, chciałem powiedzieć: dodatek do subwencyi!" Prawica Koła wyciąga delikatnie swą... prawicę, ale lewica jeszcze delikatniej ją powstrzymuje i szepce: niech da przynajmniej drugie tyle!

Już od dwóch miesięcy słyszymy o tych ciągłych targach o dwa tysiące reńskich. Co tydzień, co dziesięć dni, błaga Koło polskie ministra o zmiłowanie się nad niem, ale p. Körber odprawia je zawsze z kwitkiem. Te targi zaczynają być wstrętne, trącą żebraniną. Nie trącą, — są wprost żebraniną.

Ale i żebrak ma swą ambicję. Gdzie go dwa, trzy razy wyrzucą za drzwi, tam już więcej nie przychodzi. Koło pod tym względem nie naśladuje żebraka.

To natrętne wyciąganie ręki po jałmużnę — bo prostą jałmużną jest taka kwota dla kraju, którego reprezentanci służą najwierniej rządowi — to wyciąganie ręki, powtarzam, jest największem upokorzeniem, największym wstydem, jaki obecnie znosimy.

Jeszcze nie jest tak źle z nami, abyśmy nie zebrali między sobą kilku tysięcy dla Cieszyna.

A Kołu polskiemu, kiedy przyjechało do nas na święta, powinniśmy powiedzieć: służ za pieniądze jak Czesi teraz to czynią, albo służ darmo, kiedy już koniecznie chcesz służyć — ale nie kompromituj nas tym targiem o napiwek...

Ale przejdźmy do rzeczy weselszych.

Czasami, choć nie jestem młodą mężatką, dziwne przychodzą mi zachcenia.

Wziąłem się do badania genealogji książąt Reuss. Trzeba mieć dużo zaparcia się własnego, aby rozwikłać trudności w genealogji tego domu napotykane, Proszę sobie wyobrazić tylko tyle, że gałęzie tego domu rozdzielały się ni mniej ni więcej, tylko na książąt: Reuss-Greiz, Reuss-Schleiz, Reuss-Schleiz - Schleiz, Reuss - Schleiz - Kösteritz, Reuss-Lobenstein-Lobenstein, Reuss-Lobenstein-Ebersdorf i Reuss-Plauen.

Zanim ogłoszę drukiem badania moje nad temi gałęziami i linjami i odnogami, chcę krótko i węzłowato streścić dzieje tego książęcego domu.

Pierwszym Reussem był żyjący w X w. Eckbert hrabia von Osterode. Drugim był syn jego Henryk, którego Henryk IV mianował swoim namiestnikiem w Saksonii. Musiał to być miły pan, bo tylko miłych panów posyłali w te strony cesarze niemieccy dla gnębienia plemion słowiańskich. Od niego wszyscy Reussowie brali swe imię — każdy z nich był Henrykiem. Po Henryku I był więc Henryk II, po drugim trzeci i t. d., aż narodził się i żyje za naszych czasów Heinrich XXVIII Prinz Reuss j. L.

Ten Henryk XXVIII zamienił szablę ojców na pióro i wydał niedawno monumentalne dzieło: „Der Korrekte Kutscher", z wieloma rysunkami objaśniającemi, jak porządny stangret powinien siedzieć na koźle.

Jeżeli Henryk XXIX pójdzie w ślady swojego ojca, to spodziewać się po nim będzie można wzbogacenia literatury dziełem: „Ideał porządnego lokaja", lub: „Co psom dawać na śniadanie".

Co tam myślą sobie przodkowie, udzielni książęta i praszczur ich Eckbert von Osterode! Muszą się djablo cieszyć ze swoich potomków.

Z każdym dniem specjalizuje się wiedza u naszych zachodnich sąsiadów. Na wystawie księgarskiej ujrzałem grubą książkę, w czerwone płótno oprawną, z wyciśniętym złotemi literami tytułem: „Appetit-Lexicon". Zaciekawiony wszedłem do księgarni i przekonałem się, że to jest już „zweite Auflage".

Artykuły ułożone są abecadłowo. Po Aal, idą: Aalraupe, Absinth, Aequadella, Adam (nie ten nasz praojciec z raju, ale extractbier), Aesche, Affenthaler i t. d. przez stron 602.

I jak tu Niemcy nie mają być wykształconym narodem. Sami nie wiedzą, jak tanim kosztem nabywają tysiące najróżnorodniejszych wiadomości. Siada n. p. rodak Bismarka do stołu i zanim Frau Gemahlin rozleje zupę, odczytuje sobie z „apetycznego słownika" artykuł o zupach w ogólności. Kiedy już Kartoffelsuppe dymi na talerzu, przegląda ustęp o kartoflach, dowiaduje się zkąd są rodem, gdzie leży ich ojczyzna, Ameryka, kto to był Kolumb, jakie są odmiany kartofli, jakiej potrzebują ziemi i uprawy i t. d. Między zupą a przystawką lub rybą, na widok solniczki puszcza się w krainę mineralogji i geologji, zwiedza Wieliczkę. Móżdżek cielęcy zaznajamia go z zoologją, a zwłaszcza ze ssącymi. I tak dalej i tak dalej.

Pyszna metoda naukowa! Zwraca się też na nią uwagę pedagogów. Ona to zapewne u sąsiadów naszych wyrabia ów apetyt nienasycony na wszystko co smaczne a... cudze.

K. Bartoszewicz.

Sprawozdania literackie.

Askenazy Szymon. Dwa stulecia XVIII i XIX. I. Warszawa, 8-o, str. 555. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1901. Cena 10 kor.

Pod ogólnym tytułem Dwóch stuleci wydał autor zbiór siedmiu cennych studyów historycznych, większych i mniejszych, ale nacechowanych jednakim, a wielkim talentem. Rozprawy p. t.: „Przedostatnie Bezkrólewie"; „Fryderyk II i August III"; „Sprawa Wschodnia przed wielkim Sejmem"; „Odgłosy Targowicy"; „Przyczyny wyprawy do Moskwy"; „Z działalności ministra Lubeckiego" i „Cesarz Mikołaj I w Warszawie", stanowią, razem wzięte, syntezę najistotniejszych momentów życia politycznego Polski dwóch stuleci i potężny akord jej zasadniczych tonów dziejowych z tego okresu. To historyozoficzna wartość zbioru, sprawiająca, że nadany mu tytuł nietylko określa chronologiczne granicę tematów, ale jest także istotnym wyrazem ich doniosłości, zarówno pod względem wyboru, jak i opracowania. Charakteryzują one wspaniale Polskę dwóch stuleci; sięgają w najżywotniejsze arkana jej życia; dobywają jego treść i ducha; pogłębiają zewnętrzne zjawiska jej bytu w sposób nietylko mistrzowski, nietylko arcy-gruntowny, naukowy, sumienny i ścisły, nietylko beznamiętny i bezstronny, traktowany z wyżyn powszechno dziejowych, ale i — obywatelski.

Traktowane z osobna, dwie pierwsze i najobszerniejsze rozprawy z pomienionego cyklu przedstawiają najwięcej pola do czynienia zaznaczonych wyżej spostrzeżeń. Dzięki głębokości, z jaką autor studya swe prowadził i — przeprowadził, posiadają one jednak wszystkie sferę, która je łączy i zespala: sferę spólnych im ogniw łańcucha przyczyn i skutków. To stanowi najwyższą pochwałę dla dzieła i charakteryzuje jego miarę.

Nadto świetne pod względem plastyki i daru słowa tchnienie ożywia wszystkie te

studya. Dzięki niemu, wyniki zagmatwanych komplikacyJ politycznych, przecedzone przez pryzmat indywidualności głównych działaczów, odtwarzanych wielokrotnie z porywającą intuicyą psychologa, stapiają się w harmonii „konieczności dziejowych“: faktów dokonanych, tłomaczonych w sposób przejrzysty i nad wyraz naturalny. Dzięki niemu postacie i czyny Fryderyka Wielkiego, obu Augustów, Szczęsnego Potockiego, Wielkiego Napoleona i in. zyskały oświetlenie jasne; wystąpiły z mglistych ram zagadki w obrazach jędrnych, żywych, nader oryginalnych. Nauka poszła tym razem w parze z zacięciem publicysty i z artyzmem formy. Dzieło tej miary wkłada na autora obowiązek stworzenia z czasem jeszcze bardziej syntezy dwóch, a może „trzech“ stuleci z w. XVII, lub drugą jego połową, związaną z „Przedostatnią elekcją“ tak ściśle, — a na krytyka — obowiązek wyjątkowej surowości sądu. Surowość ta ogranicza się wszelako sama przez się do drobnego zarzutu, że charakterystyki niektórych magnatów polskich, n. p. Teodora Potockiego, nie zdają się być dość wyczerpujące (por. str. 68—71 i 127) w zakresie tych zagadek psychologicznych, jakie przedstawiali, oraz do paru niezręcznych wyrażeń, jak „Bourbon tron zasiada“ (str. 6); „ustawnie jest podkopywanem“ (str. 7), „znieruchomić“ (str. 8) i t. p., jakie, wśród szybkiego utrwalenia obrazów myśli w słowach, wkradły się do pięknego skądinąd stylu.

J. K. K.

Sienkiewicz Henryk. Pisma nieobjęte wydaniem zbiorowem, pisma młodociane: II »Na marne«; III »Humoreski z teki Worszyły«. Warszawa, nakład Stefana Dembego, 1901 r., str. 274 i 236, po 4 kor.

P. Demby dobrze zasłużył się wydaniem, nawiasem mówiąc nadzwyczaj pięknem i artystycznem, młodocianych pism autora „Trylogii“ i „Krzyżaków“. Widzimy w nich młodzieńca, z podniesioną przyłbicą występującego w świat i rzucającego ciężką rękawicę zastarzałym przesądom i skarlałym tradycjom. Na pozór, zdaje się, inny to człowiek i inne ideały.

Spójrzmy na ostatnią kartę „Na marne“ powieści, wydanej w r. 1872: »*Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś, jak ptak, odleci, a siły idą na marne*«. Jakto? i te słowa wyrzekł autor „U źródła“, „Bez dogmatu“, „Rodziny Połanieckich“, ten, który stworzył tyle przepięknych postaci niewieścich od Hani do Jagienki i Danusi? czyżby więc Sienkiewicz potępiał tu miłość osobistą, jako rzecz zbędną i szkodliwą w życiu doczesnem? Bynajmniej! Autor „Na marne“ z autorem „Trylogii“ zeszliby się w tem orzeczeniu, które głosi, że konieczność działania i tworzenia z popiołów Gustawa winna powołać do życia Konrada, a miłość jest tylko nagrodą dla tryumfatorów, i tych przedewszystkiem, którzy, jak Skrzetuski, Kmicic, Wołodyjowski, siebie samych zwyciężyli. „Humoreski z teki Worszyły“ (rok 1872—1873) wykazują talent potężniejący i szybkimi krokami zmierzający ku szczytom; odznaczają się one wielką, jak na dwudziestoletniego młodzieńca, śmiałością i werwą, oraz przedziwnym, nieporównanym humorem, nie tym rubasznym, którym Zagłoba celował, lecz humorem w znaczeniu angielskim, humorem, w którym dźwięczą łzy, na dnie duszy sperlone. N. p. w nowelce „Nikt nie jest prorokiem między swymi“, gdzie młodzieniec, pełen szlachetnych aspiracyj, ginie w nierównej walce z tymi, dla których dobra pragnął pracować; lub w humoresce „Dwie drogi“, gdzie spadkobiercy wielkich, historycznych rodów wyprzedają magnackie swe fortuny obcym przybyszom, byle tylko zadowolnić swą nienasyconą żądzę uciech. Jest może trochę jednostronności w przeciwwstawieniu rujnującej majątki arystokracji, wznoszącemu fabryki mieszczaństwu, wiele odgłosów owoczesnej walki „starej“ i „młodej“ prasy, ale wszystko to tak młode, tak świeże, tak idące w świat przebojem, że trudno oprzeć się dziwnemu, bijącemu z tych kart urokowi. *G. H.*

Kołaczkowski Klemens, jen. Wspomnienia. Księga III od r. 1820 do 1830. Kraków 1900, str. 128. Księgarnia Spółki wydaw. Cena 3 kor.

Trzecia księga wspomnień Kołaczkowskiego, zarówno jak dwie poprzednie, zawiera przeważnie materjał historyczny do ówczesnych stosunków wojskowych w Królestwie Kongresowym. W otwartej 1 grudnia 1820 r. w Warszawie wojskowej szkole aplikacyjnej Kołaczkowski, podówczas podpułkownik inżynierów w wojsku polskim, objął obowiązki „dyrektora nauk“ i wykładał fortyfikację stałą, topografję i geodezję. We wspomnieniach podaje dokładnie jej organizację i program naukowy, kreśląc przytym szczegółową charakterystykę wykładających w niej dwunastu profesorów. Prócz tego podaje z roku na rok listę imienną nowowstępujących i kończących szkołę uczniów. Niepoślednią wartość historyczną mają także zanotowane we wspomnieniach szczegóły o Prądzyńskim, sylwetki Stanisława Grabowskiego (ministra oświaty) Ludwika Platera (dyrektora leśnictwa krajowego), ekscentrycznego Wacława Rzewuskiego, senatora Ilińskiego, jenerała Kuruty, i opisy dworu i trybu życia wielk. ks. Konstantego, z którym Kołaczkowski był spowinowacony przez swą cioteczną siostrę księżnę Łowicką (Joannę Grudzińską). Zato o ważniejszych wypadkach ówczesnego życia politycznego luźne tylko i ogólnie znane powtarza wzmianki, dorzucając jednak niejeden ważny szczegół do historji tajnych towarzystw, o których, choć sam do nich nie należał, dobrze bywał poinformowany. *I. B.*

Adam Plug. Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), pamiątka jubileuszowa. Warszawa, 1900, 8-a, str. 100. Cena 3 kor. 20 h. Jan Fiszer.

Jest to szczegółowa (na osobistej znajomości i pamiętniku poetki oparta) biografja Deotymy, napisana z uczuciem szczerej czci względem autorki „Polski w pieśni“, przeplatana cytatami ze spółczesnych krytyk, unoszących się nad talentem improwizatorki. Jako każda pamiątka jubileuszowa, biografja ta z natury rzeczy napisana jest jednostronnie; autor, przytaczając np. pochlebne oceny działalności Deotymy pióra Kaczkowskiego“, Kremera, Lewestama i t. d., ani słowem nie wspomina o krytykach mniej korzystnych, n. p. o krótkiej lecz dobitnej charakterystyce improwizacji, podanej przez J. Szujskiego w „Portretach Nie-Van-Dyka“. A jak treść, tak i ton biografji jest bardzo jubileuszowy: „pieśń zachwycająca“, „natchniona dziewica“, „wieszczka“, „szczytny poemat“, „czar niezrównany poezji“, „niezrównana piękność arcydzieła“ — oto wyrażenia, które bardzo często czytelnik napotyka na kartach „Pamiątki“ tak, że czasem zdaje mu się mimowolnie, iż to nie o Deotymie, lecz o... Mickiewiczu mowa.

Dla przyszłego historyka literatury lub przyszłego badacza działalności i twórczości Deotymy książka Pługa będzie niezbędna, jako biografja, napisana przez spółczesnego autora ze źródeł pierwszej ręki. *J. Ch.*

K. Bartoszewicz. Kwestjonarjusz małżeński. Kraków, druk i nakład W. Korneckiego, skład u Gebethnera i Sp. 1901, str. 111. Cena 1 kor. 50 hal.

Autor pomieścił w jednem z pism drobny fejleton, rodzaj konkursu ogłoszonego w imieniu młodego lekarza, szukającego towarzyszki życia. Lekarz był właściwie bardzo mało wymagający, a jednak nie mógł znaleźć ideału odpowiadającego w zupełności skromnym warunkom. Fejleton poruszył płeć niewieścią — posypały się do autora listy różnego rodzaju. Wszczęła się polemika, a w niej obie strony w sposób lekki formą, a przecie poważny treścią, omówiły wiele kwestyj spornych w sprawie wychowania i wykształcenia dziewcząt naszych. Mamy zapatrywania kobiet różnych sfer: od ubogiej szwaczki do panny dumnej z rodu i posagu. Wyborny, z zapałem i dowcipem napisany jest list panny Krachelskiej, pod którym to pseudonimem kryje się pono wybitna autorka. W polemice tej są osobne traktaciki o pożyciu małżeńskiem, o wadach wychowania dziewcząt, o francuzczy-

źnie, o narodowym kierunku wykształcenia, o nauce muzyki, nawet o... knajpkach, tych azylach mężowskich.

Na końcu dodał autor obszerną rozprawkę o bardzo rzadkiej broszurze Bartosza Paprockiego: „Dziesięcioro przykazanie mężowo“. Daje ona pojęcie jak w XVI w. traktowano u nas pożycie małżeńskie, jakie były wzajemne wymagania stron przystępujących do ołtarza. Broszura Paprockiego jest nietylko ciekawym przyczynkiem do historyi obyczajów, ale i zabytkiem dowcipu polskiego.

O literackiej wartości „Kwestjonarjusza“ mówić tu nie wypada ze względu, że jego autor jest redaktorem „Kłosów“. *P.*

Krzywoszewski Stefan. Zmierzch. Powieść spółczesna. Petersburg, 1901, K. Grendyszyński, 8-a, str. 348, cena 3 kor. 20 h.

Autor daje historję domu bankowego, który dochodzi do ruiny. Rzecz cała obraca się w kantorach, w jadalniach i buduarach sfer handlowych. Nie oszczędzono tu czytelnikowi najcodzienniejszej codzienności życia, a natomiast poskąpiono jednego choćby błysku duszy, któryby usprawiedliwić mógł powstanie tej powieści. *St. P.*

Lew Tołstoj. Władza ciemności, dramat w 5 aktach, przełożył Michał Przybyłowicz. Kraków, Spółka wydawnicza. 1901, str. 104.

Wszystko, co wychodzi z pod pióra wielkiego pisarza i myśliciela rosyjskiego, nosi na sobie nietylko cechę rozległego talentu, ale i głębokiej miłości ludzi. Dlatego witamy z uznaniem staranny przekład tego ponurego dramatu na tle strasznej ciemnoty ludu rosyjskiego. Wydanie ozdobione portretem Tołstoja. *M. S.*

Rozmaitości.

* W jednym z ostatnich numerów *Przeglądu Pedagogicznego* p. S. Moszczeńska porusza kwestyę stopni i stawia ją przed oczy czytelnika, jeśli nie w nowem, to w bardzo jasnem oświetleniu. Bardzo trafnie i umiejętnie dowodzi autorka, iż wpływ tego czynnika pedagogicznego jest nietylko szkodliwy, lecz demoralizujący. Młodzież szkolna uczy się nie dla korzyści i gruntownego przyswojenia sobie wiedzy, lecz po prostu dla piątki, która się zdobywa nie rzetelną nauką, lecz z właściwym sprytem: przygotowaniem lekcji przed „wyrwaniem“, zastosowaniem specjalnych spostrzeżeń, a często nieuczciwością, t. z. ściąganiem lub przepisywaniem cudzej pracy. A rodzice? I dla nich stopień niemniej jest szkodliwym, gdyż wprowadza ich nieraz w błąd co do korzyści, z jaką dziecko dany przedmiot przyswoiło i zachęca do podniecania ambicyi jego w tym kierunku. Wszak zdobywanie stopni to próba walki o byt w późniejszym życiu, to umiejętność dążenia do karjery, która jest właśnie tem samem, czem owa piątka w szkole. Więc depcząc idealniejsze skrupuły, sięga się po nią mozołem, podstępem, prośbą, czem tylko można. W ogólności artykuł zasługuje na uwagę, ze względu, iż dotycze jak najszerszego ogółu rodziców i wychowańców, którym go też najgorręcej polecamy. W 1 numerze tegorocznym tegoż pisma spotykamy ogłoszenie od redakcyi o drugim konkursie na dwie gry dla młodzieży bez różnicy wieku: 1) pokojową, 2) na otwartem powietrzu. Zachowując warunki poprzedniego konkursu, za grę najlepszą pierwszej i drugiej kategorji przeznaczona jest nagroda w ilości 70 rubli. Termin konkursu do 31 stycznia 1902. W odcinku 2-go numeru *Przeglądu Pedagogicznego* p. J. Korczak porusza kwestę udzielania jałmużny i wsparcia przez dzieci, która nie powinna być dawaniem grosza spotkanemu na ulicy żebrakowi, lecz zbliżaniem się osobistem do nędzy i bliższem z nią zapoznawaniem. „Należy wybrać rodzinę — mówi autor artykułu — która mieszka jaknajdalej od śródmieścia. Dziecko pozna nietylko tę jedną rodzinę, ale całe obce mu środowisko, nauczy się mówić z tymi ludźmi, dowiadywać się, co im dolega“ Radzi prowadzić dzieci do sali szpitalnej, do warsztatu robotnika. Rady w zasadzie piękne, ale ktokolwiek w życiu sam odwiedzał rodziny, pogrążone w nędzy w zaułkach „jak najdalej od śródmieścia“, skąd płyną owe zdroje zaraźliwych chorób epidemicznych, ten „dziecka“ na te próby nie narazi chętnie. Co innego ubogi warsztat rzemieślnika, a co innego nędza wyjątkowa, kryjąca się w podziemiach i poddaszach. Dla wrażliwych dzieci widok to za silny, dla wątłych niebezpieczny i fizycznie i moralnie. Myśli autora są słuszne, ale trudne do wykonania, gdyż wymagałyby przedtem rozpatrzenia całego szeregu warunków. Dzieci to jeszcze nie ludzie. Dlatego poprzestańmy dla nich na uboższej młodzieży rzemieślniczej, na ubogich rówieśnikach, z którymi samo życie je zbliżyło, np. dzieci służby, stróża miejscowego, robotnika i t. p. a nie szukajmy „nędzy“. Na to czas będzie później, kiedy przestaną być „dziećmi“.

* W ostatnim nrze *Kraju* rozpoczęto druk zajmujących dokumentów do życia Grottgera ze zbioru p. Wandy Młodnickiej. Mamy na początek list, pisany przez 14-letniego wówczas Grottgera do rodziców z Zagórzan, gdzie późniejszy znakomity artysta-malarz przebywał w domu p. Władysława Skrzyńskiego, a jak z listu wynika, próbował z powodzeniem swych malarskich zdolności, — oraz list z Krakowa, napisany w pierwszych tygodniach po rozpoczęciu przez Grottgera nauki w krakowskiej Szkole malarskiej (d. 24 października 1852). Oba listy są bardzo interesującym przyczynkiem do biografii i rozwoju talentu Grottgera. Oto co pisze w drugim:

„Do techniki na I kurs, to jest do wyższych szkół realnych, wpisany jestem już od tygodnia i tam jestem od ósmej do dwunastej razem z malarstwem. Po południu od 2-ej do 4-ej lekcje w domu, matematyka, francuskie i niemieckie, a od 2-ej do 6-ej rysunki wieczorne. Bardzo tu ładna akademja malarstwa. Jest nas tam dwudziestu czterech, rysujemy wszyscy razem, we dnie z gipsu, wieczór draperje na manekinach, a jutro będziemy człowieka z natury robić. Także będę olejno malować, a za rok Tatko będzie kontent, jak zobaczy.

„Trza wiedzieć, że już o mnie w dzienniku literackim wspominają, ten numer jeżeli znajdę, to go Państwu przyszlę. Pan Łuszczkiewicz, prof. akademji, jest bardzo grzeczny dla mnie i kontent ze mnie, bom mu zrobił dobrze jedną nogę męzką w naturalnej wielkości, a drugą dziecięcą. Otóż bardzo z nich kontent p. Łuszczkiewicz, równie jak z draperji. „Idź tak dalej, a zajdziesz daleko“ — powiedział mi wtedy. Jego ojciec, dyrektor szkół technicznych, także się mną bardzo zajął. On to zrobił, że teraz jestem w tej akademji.

„Będę mu teraz kopjował hetmana Potockiego na koniu, roboty Orłowskiego, bardzo ładne. „Prawda, że ty zrobisz to lepiej?“ — powiedział mi ten surowy tak dla drugich dyrektor. — „Nie wiem“ — odpowiedziałem. Jestem w bardzo wielkich łaskach u niego. Przysłał już dwa razy po moje niebieskie album. Rysuję, a raczej maluję teraz czerkiesów z dwoma połapanymi jeńcami, ładny będzie obraz“.

* Ludwik Forest, w jednym z przeglądów ogłasza wrążenie wyniesione z tegorocznej wycieczki do Bremy i Hamburga odbytej w jesieni. Zabawne są z pewnego względu te opowiadania, bo jeśli chodzi o znajomość etnografii polskiej, to, jak wiadomo dobrze, dziennikarz francuski potrafi zabawić czytającego. Oto słów kilka wstępu do tego sprawozdania:

„Niemcy, powiada Forest, coraz mniej kontyngensu dostarczają emigracjom amerykańskim; jak widać wzrastająca ciągle potęga tego państwa daje w obrębie jego byt dostateczny tłumom, które przedtem siłą konieczności ustępować musiały w dalekie obce kraje. Dzisiejsi emigranci to przeważnie polscy włościanie, a przytem są Bukowińczycy, les Mazures, les Gorales, Ruthenes, Hongrois, Croates, Slowaques, Bosniaques etc.

Oczywistem jest, że Francuzowi ani w głowie postało, aby ci jego „les Mazures i les Gorales“, których szczęście wielkie, że od gorylów nie wywiódł, mieli być Polakami, nam jednak jest tu z jego strony pomyłka o tyle smutną, że ci biedacy sami nie wiedzieli jakiej są narodowości, i że w ten widać sposób objaśniali obcych, kim są i zkąd pochodzą. Prawdopodobnie dowiedzą się o tem na obczyźnie więcej, niżby się byli dowiedzieli w kraju własnym, gdyby im pozostać przyszło w zagrodach swoich do końca życia.

* W ostatnim zesz. *Biblioteki warszawskiej*, doskonały znawca stosunków niemiecko-polskich dr. Kazimierz Rakowski, kreśli szczegółowy obraz życia Polaków w Berlinie, gdzie ich przebywa około 60 tysięcy, z czego zaledwie jakaś dziesiąta część zdołała się zorganizować.

Powstał szereg stowarzyszeń, które zespoliły się w jedną do pewnego stopnia całość, wybierając „Komitet Towarzystw polskich“, złożony z prezesów pojedyńczych instytucyj.

Pomimo to, daleko jeszcze do tego żeby stan kolonii polskiej w Berlinie można było uważać za pomyślny. P. Rakowski uważa za niezbędne, aby: 1) uregulować dopływ emigracyi do Berlina, założyć polskie biuro pośredniczenia w pracy i zorganizować opiekę nad przybyłymi a nieznającymi warunków miejscowych. 2) Postarać się o księży polskich, gdyż katolickie duchowieństwo niemieckie dąży stale i wytrwale do germanizacyi. 3) Stworzyć instytucyę „Domu polskiego“ na wzór niemieckich „Vereinshausów“. Dom taki stałby się ogniskiem ruchu towarzyskiego.

Wszystko to jednak, jeżeli nawet będzie wprowadzane w czyn, może zapobiedz germanizacyi sterszego pokolenia.

Dzieci, chowane w szkołach i otoczeniu niemieckiem, germanizują się bezwarunkowo i przeciwdziałać temu nie podobna. Dlatego autor dochodzi do wniosku, że najsilniejsze i najlepiej w swym zawodzie wykształcone jednostki powinny wracać do kraju. W ten sposób emigracja może wynagrodzić krajowi] ubytek tysięcy wychodźców, dążących co rok na Zachód.

* *Czas* zamieszcza korespondencyę z Konstantynopola, w której autor opisuje swoją wycieczkę do osady polskiej, zwanej Adampol, położonej o cztery godziny drogi wierzchem z Bejkos, znanej wiliegiatury stambulskiej, po tamtej stronie Bosforu. Mieszkańcy tej osady, pod którą grunt zakupił w r. 1835 z polecenia Adama Czartoryskiego, Michał Czaykowski, za sumę 100.000 franków, są potomkami emigrantów z lat 1848 i 1863. Osada cała, znajdująca się w parowie, wśród dziewiczego dębowego lasu, była dawniej, jako należąca do francuskiego poddanego (Czartoryskiego) wolną od tureckich podatków. Dziś jednak sprzeczki gruntowe osadników spowodowały ich do oddania się opiece tureckiej, która teraz zaczyna ich uciskać rozmaitemi daninami i sądami.

„Zaledwie kilku najstarszych patryarchów wychodźctwa żyje jeszcze — pisze dalej korespondent *Czasu*. — Na skraju lasu w dolinie mieszka mieszka stary P. K. On tu był prawie pierwszym osadnikiem. Postawił chatę, wykopał studnię, zbudował młyn, urządził sadzawkę, dokonał, jak na jednostkę, bardzo wiele. Żona jego była prawdziwym towarzyszem pracy. Kilku synów i kilka córek osiedliło się w osadzie, i pobudowało własne domostwa na wzór rodziców.

Gdy się przyzwyczaiło patrzeć na wsie tureckie, greckie, albo bułgarskie, Adampol sprawia wrażenie dobrobytu i elegancji. Bogactwem tu są sady. Drzewa łamią się literalnie pod masą owoców. To główna gałąź dochodu w Adampolu, przez tuziemców zupełnie nie wyzyskana. Domy, podwórza, ogrody, ogrodzone płotami, bydło ładne i rosłe, porządne zaprzęgi, wszystko świadczy o zamożności. Psy, które na obcych szczekają, słysząc głos polski, witają nas radośnie psim obyczajem. Bydło, powracające z pól, głos pastucha, nawołujący mazurskim akcentem, szczebiot dzieciaków, wszystko, jak u nas nad Wisłą — a tak daleko.

Kolonia polska posiada kaplicę i ma zamiar budować kościół, co naturalnie wzmocni siłę odporną narodowości.

Jest tu jednak i odwrotna strona medalu — wzajemne spory i niesnaski. W porównaniu jednakże z obyczajami narodu, otaczającego Adampol, występują na widownię tylko strony dodatnie“.

* Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza we Lwowie postanowiło dokonać pewnych zmian w swoim statucie. Mianowicie Towarzystwo nie będzie się odtąd ograniczało badaniem wyłącznie rzeczy Mickiewiczowskich, lecz zajmować się będzie badaniem dziejów całego piśmiennictwa polskiego. Dalej, obok „Pamiętnika Mickiewiczowskiego“, zamierza Towarzystwo wydawać „Kwartalnik literacki“, wreszcie pragnie w całym kraju zakładać oddziały Towarzystwa; w Tarnowie już oddział taki się przygotowuje. Słowem, z ciaśniejszych ram Towarzystwa Mickiewiczowskiego przeobraża się w naukowe Towarzystwo literackie pod imieniem Mickiewicza.

* Zygmunt Noskowski rozwinął w *Poradniku dla czytających książki* projekt unarodowienia koncertów polskich, w których, jak wiadomo, panuje dotychczas niepodzielnie cudzoziemszczyzna, która szczególniej z działu fortepianowego wyrugowała prawie zupełnie nazwiska kompozytorów polskich z wyjątkiem chyba jednego Chopina i Paderewskiego.

Wskutek tej opłakanej obojętności, muzycy nasi muszą swe dzieła wydawać za granicą, gdzie nakładcy bardzo chętnie je nabywają. Tam więc rozchodzi się ich sława, tam są znani i grywani, gdy u nas nie wie się nawet o tytułach, pod jakimi wychodzą z druku te płody natchnienia swojskiego.

A przecież, jak wyjaśnia Noskowski, w ostatniem 25-leciu literatura fortepianowa polska wzbogaciła się znacznie.

Oto nazwiska kilku kompozytorów polskich, zasługujących na jaknajszerze rozpowszechnienie, znanych za granicą, a u nas mało cenionych: Zygmunt Stojowski, Roman Statkowski, Henryk Melcer, Piotr Maszyński, Mieczysław Sołtys, T. Pollak, K. Lubomirski i w. i.

* Jeden z wydawców czeskich podjął nowe wydawnictwo: „Biblioteka polska“, mające obejmować tłumaczenia powieści polskich. Dotąd przełożono już bardzo wiele z naszej literatury, między niemi jednak dużo rzeczy mniejszej wartości, z pominięciem dzieł wybitniejszych. Do pewnej miary wina to i naszych literatów, którzy mało prac swych przysyłają wybitniejszym pismom jak np. *Słowiańskiemu przeglądowi*, a nieraz proszeni o to nawet przez tłumaczy czeskich, odpowiadają im milczeniem. Nowe wydawnictwo, którego kierunek objął p. Jarosław Rozvoda, dobry znawca polskiej literatury, zapobiegnie temu w przyszłości.

* Ukazało się „Pójdźmy za Nim“, w przekładzie francuzkim p. Halperina — Kamińskiego, z ilustracyami p. Jana Styki. P. Halperin przekład swój poprzedził obszerniejszem studjum, poświęconem Sienkiewiczowi i... p. Styce. Korespondent peterburskiego „Swieta“ wziął na serjo płatne reklamy „Jurnal'a“ i „Echo de Paris“, mianując p. Stykę „największym ze współczesnych malarzy polskich“ i usiłuje go postawić na tej samej wyżynie w sztuce polskiej, na jakiej stanął — w literaturze Sienkiewicz. Ilustracje p. Styki przeczą w sposób jaskrawy tym zapewnieniom. Możnaby pominąć ów artykuł milczeniem, gdyby nie okoliczność, iż ten, lub ów czytelnik francuzki może uwierzyć słowom p. Halperina, iż p. Styka jest „największym ze współczesnych malarzy polskich“, i wskutek tego nabierze niesłusznie ujemnego pojęcia o naszej sztuce. Istnieją pewne granice reklamy, których przekraczać nie należy nawet takiemu geniuszowi, jakim jest.... p. Styka.

Odpowiedzialny redaktor:
Kazimierz Bartoszewicz.
Wydawca: **Sebastyan Będzikiewicz.**

Dzierżawca działu inseratowego: **Władysław Borkowski.**

Czcionkami Nowej Drukarni Jagiellońskiej w Krakowie (Jagiellońska 10) pod zarządem L. K. Górskiego.